

Nr 4 (65) - B Rok 11

Lipiec - Sierpień 2005



www.wolanie.kioskonline.pl

Wołanie z Wołynia *Воляння з Волині*

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej



S P I S T R E Ś C I

Władysława KRYNICKA, <i>Pan Bóg zamieszkał w swoim domu i czeka na każdego z nas</i>	s. 3
<i>Pokój między narodami jest możliwy. List biskupów z Polski i Ukrainy o pojednaniu</i>	s. 6
Inna SZOSTAK, <i>Świat młodzieży – jak go formujemy</i>	s. 9
<i>Pojednanie polsko-ukraińskie nie może skończyć się na deklaracjach. Rozmowa z kard. Marianem Jaworskim, łacińskim metropolitą Lwowa</i>	s. 11
<i>Pogłębiajmy ducha pojednania. Rozmowa z kard. Lubomyrem Huzarem, zwierzchnikiem Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego</i>	s. 16
Jan TWARDOWSKI, <i>O kościele</i>	s. 20
Ułasz SAMCZUK, <i>Wołyń. III - Wieczorem (Początek)</i>	s. 21
Ks. Mieczysław MALIŃSKI, <i>Twoje powroty</i>	s. 28
Irena MOROZ, <i>Ty jesteś Piotr. Koncert w Równem poświęcony śp. Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II</i>	s. 31
<i>Przeszłość Równego</i>	s. 33
Wiktor CHOMICZ, <i>„Jest to potrzebne nie martwym, to jest potrzebne żywym”</i>	s. 37
Zbigniew MAŁYSZYCKI, <i>Jeszcze o kościele i klasztorze Ojców Kapucynów w Lubieszowie</i>	s. 38
Antoni SODUŁA, <i>Krzyż na „Polskim Cmentarzu” w Emilczynie</i>	s. 39
Inna SZOSTAK, <i>Dzieje wielkości polskiego teatru na Wołyniu</i>	s. 41
Oksana JAKYMCZUK, <i>„Berdyczów starożytny i wiecznie młody”</i>	s. 42
Włodzimierz FILAROWSKI, <i>Uczę się języka polskiego</i>	s. 44
<i>Kronika Kościoła Farnego Ostrońskiego</i>	s. 45
Jarosława BONDARCZUK, <i>Aleksander Ostroński (1570-1633)</i>	s. 48

Dwumiesięcznik **Wołanie z Wołynia** - *Волання з Волині*

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

Adres redakcji: ☒ вул. Кардашевича, 1, ☎ & Fax + 380 (3654) 2-30-38
35800 м. Острів, Рівненська обл., Україна E-mail: kovaliv@ostroh.uar.net

Wydawca wersji polskojęzycznej: ☒ Ośrodek „Wołanie z Wołynia”,
ISSN 1429-4109 skrytka pocztowa 9, 34-520 Poronin

<http://www.wolanie.regle.pl/> oraz <http://www.wolanie.kioskonline.pl/>

Redaguje Zespół: ks. Władysław Czajka, Irena Dejneka, ks. Marek Gmitrzuk,
ks. Witold Józef Kowalów (redaktor naczelny), ks. Józef Kozłowski, Władysława
Krynicka, Irena Moroz, ks. Waldemar Szlachta, Inna Szostak, ks. Andrzej Ścisłowicz.

Redakcja publikuje materiały nie zawsze dzieląc poglądy ich autorów.

Zamieszczone w piśmie materiały mogą być publikowane z podaniem źródła.

Wszystkich, którzy chcieliby pomóc w finansowaniu czasopisma,

prosimy o wpłaty na konto: **Stowarzyszenie Ośrodek „Wołanie z Wołynia”**

PBS. ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC nr 77 88210009 0010 0100 1892 0001

Ź nas na Wołyniu

PAN BÓG ZAMIESZKAŁ W SWOIM DOMU I CZEKA NA KAŻDEGO Z NAS

Poświęcenie kościoła
pw. św. Michała Archanioła
i św. Antoniego w Kamieniu
Koszyrskim (diecezja łucka),
24 czerwca 2005 r.

Dnia 24 czerwca 2005 roku, tego samego dnia kiedy we Lwowie na Łyczakowie odbywały się uroczystości powtórnego otwarcia Cmentarza Orłąt, odbyło się poświęcenie nowozbudowanego kościoła pw. św. Michała Archanioła i św. Antoniego w Kamieniu Koszyrskim na Polesiu w diecezji łuckiej.

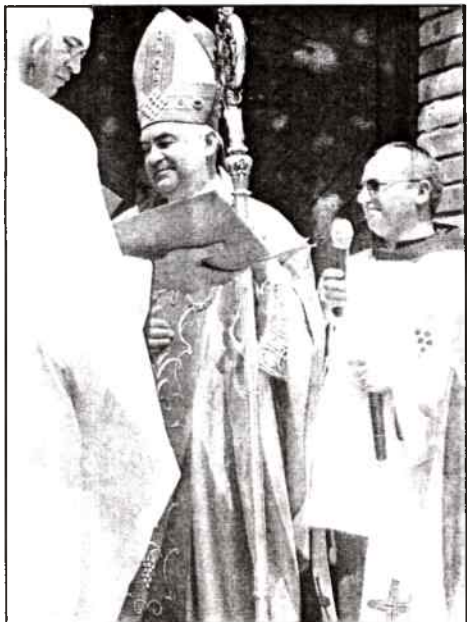
Przed tym, jak pokrótce opiszę poświęcenie kościoła w Kamieniu Koszyrskim, pragnę podzielić się refleksją jednej z kobiet, która przybyła na tę uroczystość. Przed uroczystością podeszła do mnie starsza kobieta i zaczęła ze łzami w oczach opowiadać dlaczego dzisiaj przyjechała ze Lwowa na uroczystość poświęcenia kościoła w Kamieniu Koszyrskim:



*Nowoposwięcony kościół
pw. św. Michała Archanioła
i św. Antoniego w Kamieniu
Koszyrskim*

“Nazywam się Olga Horbaczewska. Urodziłam się w tym starym miasteczku Kamieniu Koszyrskim w 1936 roku. Mieszkałam tutaj do 1950 roku. Potem udałam się na naukę do Lwowa i tam mieszkam do dzisiaj. Pragnę opowiedzieć wam o przeżyciach mojego dzieciństwa. Bardzo mi przykro, że stoję obok swojego kościoła, w którym obecnie znajduje się wytwórnia słodyczy. Boże, jaki był to ładny kościół! Jeszcze podczas wojny, kiedy byli Niemcy, był on czynny. A po odejściu Niemców, miejscowi nacjonaliści zaczęli palić całe miasto, w tym i nasz kościół. Na początku 1944 roku proboszcz naszej parafii wyjechał, kościół ograbiono, koło kościoła płonęły ogniska, w których palono inwentarz kościelny, a w kościele bandyci zrobili ubikację.

Mojego ojca zabrali na wojnę, a mama nas przechowywała w różnych miejscach, bo nacjonaliści ukraińscy na nic nie zważając mordowali ludność polską. Pamiętam, że dziadka i babcię Sobieszczuków z naszej rodziny związali drutem kolczastym, wrzucili do szopy i



**Władyka Marcyan Trofimiak,
ordynariusz diecezji łuckiej, uroczyste
otwiera drzwi nowego kościoła**

spalili żywcem. Potem jedna z sąsiadek znalazła ich kości i pochowała na cmentarzu. Po wielu latach przyjechał wnuk tych zamordowanych i ta pani pokazała mu grób szczątków jego dziadka i taci.

Każdego ranku sąsiedzi mówili o tych, kogo zamordowali. Ów czas dla Polaków był taki ciężki, że nie mogli nawet mówić i wspominać o tym bez wielkiego przeżycia... My po wojnie, cudem uratowani – bo Polacy albo uciekli albo zostali zamordowani – jeździliśmy do kościoła w Łucku”. A następnie dodała: “Ale to miejsce, Kamień Koszyrski, jest mi najdroższe w świecie, bo tu są pochowani moi krewni, tutaj się urodziłam i wyrosłam. Tutaj jest mój kościół, tutaj jest

moja dusza. Każdego roku przyjeżdżam tu w listopadzie z rodziną, aby oddać hołd swoim przodkom. Byli i są dobrzy ludzie, którzy nas przechowywali, którzy do dzisiaj mnie znają i zawsze są radzi, kiedy przyjeżdżam, chociaż nawet po wojnie w szkole słyszałam słowa: «Ty, polska mordo, twoje miejsce jest na cmentarzu». Każdy człowiek ma swoje najdroższe miejsce na ziemi. Dlatego przyjechałam dzisiaj tutaj, a nie poszłam na Cmentarz Orłąt we Lwowie. Chciałabym aby jednak oddali nam nasz kościół, ale razem z tym dziękuję Bogu, że obok niego, gdzie był cmentarz, powstał nowy. Wyłaczcie, ale bez łez nie mogę patrzeć na ten zrujnowany kościół zamieniony na wytwórnię słodyczy”.

Mam nadzieję, że z tej opowieści P.T. Czytelnik zrozumie, dlaczego na polskim cmentarzu, który znajdował się koło kościoła, zakonnicy na czele z proboszczem o. Zygmuntem Majcherem OFM, zbudowali nową świątynię.

Obok nowozbudowanego kościoła zebrało się wielu ludzi: parafianie, mieszkańcy miasta, pielgrzymi z różnych parafii diecezji łuckiej, goście z Polski, przedstawiciele miejscowych władz. Wszyscy czekali na przyjazd J.E. Ks. Bpa Marcjana Trofimiaka. Oto przybył biskup i uroczyste wszedł razem z kapłanami i świeckimi do nowej świątyni. Na początku Mszy św. parafianie z chlebem przywitani J.E. Ks. Bpa Marcjana Trofimiaka i wszystkich przybyłych. Proboszcz tej świątyni o. Zygmunt Majcher OFM szczerze podziękował Ks. Biskupowi za przybycie i prosił go o poświęcenie nowego kościoła i przewodniczenie wspólnej modlitwie. Msza św. rozpoczęła się poświęceniem wodą święconą kościoła i pokropieniem wiernych.

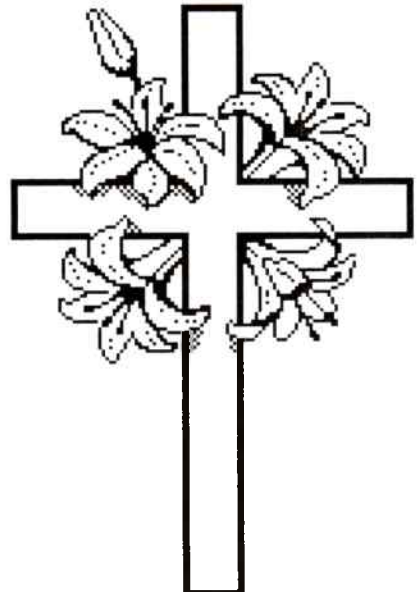
W okolicznościowym kazaniu J.E. Ks. Bp Marccjan Trofimiak powiedział m.in.: *“Poświęcenie świątyni, domu, który jest domem modlitwy, który zbiera nas na wspólną modlitwę, w którym w szczególnie sposób będzie odczuwalna obecność Jezusa Chrystusa, obecność Pana naszego Jezusa Chrystusa w świętej Eucharystii, to dom w którym będziemy słyszeć słowa przebaczenia, tutaj będą sprawowane wszystkie sakramenty, którymi dysponuje Kościół święty. Można zniszczyć świątynię, ale niemożliwym jest zniszczenie wiary (...). Słowa Jezusa Chrystusa mówią, że bramy piekielne go nie przemogą (...) i nie przemogły. (...) Miłość wszystko zwycięża i zwycięży. (...) Czy tradycja powinna dzielić? – Nie! (...) Jest wschodnia tradycja i jest zachodnia tradycja. Czy one powinny wojować między sobą? (...) – One powinny wzajemnie siebie uzupełniać, wtedy chrześcijaństwo przemówi, zaśpiewa potężnym głosem i ukaze się w prawdziwym świetle i będą mogli być razem – jak radośnie, że dziś jesteśmy razem, i prawosławni, i katolicy (...) – wszyscy razem tworzymy jedno chrześcijaństwo. (...) Nasza wspólnota jest najlepszą świątynią. Najbogatszą i najbardziej cudowną świątynią jest serce człowieka, (...) nasze serca powinny być tą świątynią, (...) powinien nas jednoczyć ogień tej miłości, miłości która pochodzi od Pana Boga. (...) Nikt nas nie przemoże (...).”*

Następnie Biskup podziękował OO. Franciszkanom i prowincjałowi Herkulanowi Malczukowi OFM za ciężki trud budowy świątyni. Potem miała miejsce konsekracja ołtarza i okadzenie kościoła. Zaświecono światło. Światło – to symbol światłości, którą jest Chrystus. Ołtarz zaścielono obrusem, przyniesiono dary ofiar-

ne i rozpoczął się najważniejszy obrzęd pierwszej w tej świątyni Mszy Świętej – Eucharystii. Ludzie nie mieścili się w świątyni, stali na zewnątrz, ale przeżycie Mszy świętej nie było dla nikogo obojętnym. Wierni nie powstrzymywali łez, płakali, zwłaszcza ci, którzy pamiętali czasy przedwojenne i trudne czasy powojenne.

Być może te dwa wydarzenia, które miały miejsce we Lwowie na Łyczakowskim Cmentarzu Orłąt i w małym miasteczku Kamieniu Koszyrskim – to Boży znak przez który Bóg przemawia do nas, chrześcijan na Ukrainie, że Miłości nie można zabić, że Dobro nie można przemoc złem, że Prawda zmartwychwstanie tak, jak zmartwychwstał Chrystus.

Władysława Krynicka



Między sąsiadami

POKÓJ MIĘDZY NARODAMI JEST MOŻLIWY

List biskupów
z Polski i Ukrainy
o pojednaniu

Poniżej publikujemy pełny tekst Listu, który został opublikowany w sobotę, 19 czerwca 2005 r., na zakończenie obrad 332. Zebrania Plenarnego Konferencji Episkopatu Polski. Został on odczytany w niedzielę, 19 czerwca 2005 r., na pl. Piłsudskiego w Warszawie – na zakończenie III Krajowego Kongresu Eucharystycznego i powtórzony 26 czerwca we Lwowie na Ukrainie oraz w sanktuarium greckokatolickim w Zarwancyi koło Tarnopola.

W Roku Eucharystii podejmujemy wezwanie Świętego Pawła: *“W imię Chrystusa prosimy: pojednajcie się z Bogiem!”* (2 Kor 5, 21). Uczestniczymy w historycznej chwili, a celem jej jest dążenie do jedności narodów poprzez modlitwę i przebaczenie. Pragniemy – według wskazań Świętego Pawła – zmierzać do pojednania między wiernymi Kościoła Greckokatolickiego i Rzymskokatolickiego.

Dokonując aktu wzajemnego prze-

baczenia – w imię sprawiedliwości, miłosierdzia i dobra naszych narodów – pragniemy podjąć dziedzictwo Ojca Świętego Jana Pawła II – Papieża pokoju i pojednania. Czynimy to w poczuciu odpowiedzialności za *“wychowanie młodych pokoleń w duchu pojednania i budowania przyszłości bez uwarunkowań historii”* (Przesłanie Jana Pawła II w 60. rocznicę tragicznych wydarzeń na Wołyniu, Watykan 7 lipca 2003 r.). To On, zwracając się do Ukraińców i Polaków, pisał: *“Skoro Bóg przebaczył nam w Chrystusie, trzeba, aby wierzący umieli przebaczać sobie nawzajem doznane krzywdy i prosić o przebaczenie własnych uchybień, i w ten sposób przyczyniać się do budowania świata, w którym respektuje się życie, sprawiedliwość, zgodę i pokój”* (Przesłanie Jana Pawła II, j.w.).

Dziś ślemy braterskie pozdrowienia do naszych wiernych na Ukrainie i w Polsce, a także do braci prawosławnych i wszystkich ludzi dobrej woli. W naszej historii nie brakło wydarzeń trudnych, niekiedy tragicznych. Oddalały nas od siebie konflikty zbrojne, polityczne, religijne, mimo iż łączyło nas dziedzictwo tej samej wiary, wspólnota chrztu świętego, przez który zostaliśmy wszczępieni niezależnie od przynależności narodowej w śmierć i chwalebne Zmartwychwstanie naszego Pana.

1. Już ponad tysiąc lat temu nasze narody otworzyły się na Chrystusa i Jego Ewangelię, a chrześcijaństwo zaczęło formować naszą kulturę i narodową tożsamość. Wiara w Chrystusa

Zmartwychwstałego pomagała nam przetrwać trudny czas wojen, zniewolenia. Niosła nadzieję, że również nasze narody zmartwychwstaną do życia w wolności.

Chrześcijaństwo przyszło do Polski z łacińskiej Europy, a na ziemiach ukraińskich wyrosło z tradycji bizantyjskiej. To nas wyróżniało, a niekiedy mogło stawać się przeszkodą w naszych wzajemnych stosunkach; szczególnie wtedy, kiedy nie podejmowano trudu wzajemnego zbliżenia. Często wzajemne różnice bywały też sztucznie wyolbrzymiane przez próbujących nas poróżnić nieprzyjaznych sąsiadów, albo rozniecane przez wewnętrzne spory polityczne. Były przecież w naszej historii okresy, kiedy doświadczaliśmy wspólnoty losu, szliśmy tą samą drogą, przechodziliśmy razem niejedną próbę, wzajemnie korzystając z duchowych dóbr, czerpiąc z naszej chrześcijańskiej wspólnoty siłę trwania i nadziei.

Miniony XX wiek przyniósł światu tragiczne doświadczenia wielu wojen, terroru politycznego, niszczenia Kościołów przez systemy totalitarne. Zaznaczył się także radosnymi wydarzeniami: upadkiem systemów totalitarnych (nazistowskiego i komunistycznego), Soborem Watykańskim II, odzyskaniem wolności religijnej, odrodzeniem Cerkwi Greckokatolickiej na Ukrainie, jednoczeniem się Europy.

U progu trzeciego tysiąclecia od narodzenia Chrystusa Pana mamy świadomość, że aby budować jedność narodów i rozwijać wzajemne stosunki w duchu zaufania, należy przewyciężyć dziedzictwo przeszłości, wybaczyć so-

bie historyczne krzywdy i nieporozumienia, oczyścić naszą pamięć oraz budować cywilizację miłości.

2. Dążenie do wzajemnego porozumienia między rzymskokatolickimi biskupami Polski i greckokatolickimi Ukrainy oraz jedności naszych Narodów ma już długą historię. 60 lat temu, 22 maja 1945 r., w Papieskim Kolegium Świętego Jozafata w Rzymie miało miejsce spotkanie Augusta Kardynała Hlonda, Prymasa Polski z Biskupem Iwanem Buczko. Również w Rzymie, 8 i 17 października 1987 r., spotkali się Biskupi Polski i Ukrainy. Te spotkania przebiegały w duchu miłości i zrozumienia. Mogą to zaświadczyć ci spośród hierarchów ukraińskich i polskich, którzy byli ich uczestnikami. To wtedy duchowi przywódcy naszych Kościołów: kardynałowie Myrośław Iwan Lubacziwski i Józef Glemp wspólnie stwierdzili: *“Jesteśmy wobec siebie dłużnikami, ponieważ nie zdołaliśmy wprowadzić w życie nauki, która wypływa ze wspólnoty naszego chrztu świętego!”*.

Podjęte wówczas wspólne wysiłki przyniosły obfite plony. Tysiąclecie chrztu Rusi-Ukrainy przeżywano szczególnie uroczyście w Polsce na Jasnej Górze w 1988 r. z udziałem Biskupów Polskich i Ukraińskich. Zbliżyły nas - katolików obu obrządków - obchody Wielkiego Jubileuszu 2000 roku. W 2001 r. na ukraińską ziemię przybył Ojciec Święty Jan Paweł II, następca świętego Piotra Apostoła. Pielgrzymka Ojca Świętego stanowiła mocny impuls na drodze do porozu-

mienia, przezwyciężenia nieufności i historycznych obciążeń, które nie powinny stanowić przeszkody dla nowego pokolenia Ukraińców i Polaków, pragnących żyć w przyjaznej atmosferze równości i szacunku, w jednoczącej się Europie. Wpływ papieskiej pielgrzymki pozwolił na wspólne oddanie hołdu ofiarom bratobójczych konfliktów. W sposób szczególny solidarność naszych dwóch narodów dała o sobie znać jesienią 2004 r. w Kijowie.

3. Gdy 2 kwietnia 2005 r. odszedł do domu Ojca Przedwiecznego Papież Jan Paweł II, świat utracił swego głównego duchowego przywódcę. W tych pamiętnych dniach uświadomiliśmy sobie jeszcze mocniej wartość posługi apostołskiej Namiestnika Chrystusowego – Syna narodu słowiańskiego. Jednym z najważniejszych zadań pontyfikatu Jana Pawła II była troska o pokój między narodami. Pamiętamy Jego słowa: *“Nie ma pokoju bez sprawiedliwości, nie ma sprawiedliwości bez przebaczenia”* (tytuł Orędzia na XXXV Światowy Dzień Pokoju 1 stycznia 2002). Ojciec Święty dał nam, uczniom Chrystusa, wspaniały przykład, wyznając historyczne winy Kościoła katolickiego i prosząc o ich przebaczenie, ponieważ w sercu chrześcijanina nie powinno być miejsca na gniew, niesprawiedliwość, kłamstwo. Drodzy Bracia i Siostry w Chrystusie! Sprawując Najświętszą Eucharystię, w czasie Kongresu Eucharystycznego w Warszawie (19 czerwca) i we Lwowie (26 czerwca), kierować będziemy nasze modlitwy do Boga Wszechmogącego.

Zanim to się stanie, spełnijmy święty obowiązek, o którym tak mówi Chrystus: *“Jeżeli więc przyniesiesz dar swój przed ołtarz i tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar swój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim! Potem przyjdź i dar dwój ofiaruj”* (Mt 5, 23-24). Darem, który przynosimy jest pragnienie spełnienia woli naszego Pana, aby *“wszyscy byli jedno”*.

Wszyscy przecież jesteśmy pielgrzymami na tej ziemi. Idziemy drogami wiary do naszego wspólnego niebieskiego Ojca, do naszej niebieskiej Ojczyzny, gdzie – jak ufamy – będziemy się cieszyć pełnią chwały Bożej. Również z tej, ostatecznej perspektywy przeznaczenia człowieka, płynie obowiązek pojednania. Kiedyś nasi praojcowie wybrali wspólną drogę, otwierając swoje serca i granice naszych ojczyzn dla Chrystusa. Odmienność obrządków i kulturalna różnorodność są tylko znakiem większego ubogacenia, które niesie ze sobą wiara w Boga w Trójcy Świętej Jedyne.

Rok Eucharystii, który teraz przeżywamy, pomaga nam głębiej zrozumieć istotę Najświętszego Sakramentu. W jaki sposób wyrazić naszą wdzięczność za ten Dar Chleba Żywota, który stanowi źródło nadziei na pokój i miłość między naszymi narodami? *“Moją ofiarą, Boże, duch skruszony; nie gardzisz Boże, sercem pokornym i skruszonym”* (Ps 51, 19).

W ubiegłym stuleciu nasze narody złożyły świadectwa wierności okupionej śmiercią! Krew przelana przez męczenników wzywa nas do miłości.

przyjaciół i wrogów, i woła:
 „*POJEDNAJCIE SIĘ!*”.

Wznieśmy się ponad polityczne poglądy i historyczne zaszłości, ponad nasze kościelne obrządki, nawet ponad naszą narodowość – ukraińską i polską. Pamiętajmy przede wszystkim, że jesteśmy dziećmi Boga. Zwróćmy się do naszego Ojca: *“Przebacz nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”*. Aby nasza modlitwa była ze wszech miar owocna, powiedzmy wobec siebie słowa: *“Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”* – wszak mają już swoją historyczną moc w dziele pojednania narodów (por. List Biskupów Polskich i Biskupów Niemieckich, Rzym 1965). Niech ten akt przebaczenia i pojednania dokona się przed Obliczem Boga w Trójcy Jedynej i Bogurodzicy w miejscach świętych dla naszych wiernych: *“na Jasnej Górze i w Zarwanych, w Warszawie i Lwowie”*. Niech nasza wspólna modlitwa będzie modlitwą czystych serc, modlitwą ludzi dobrej woli.

W tym duchu udzielamy pasterskiego błogosławieństwa.

Warszawa – Lwów,
 dnia 19-26 czerwca 2005 r.



Kościół i młodzież

ŚWIAT MŁODZIEŻY – JAK GO FORMUJEMY

Młodzież obecnego czasu... Jak wiele o niej się mówi i jak mało o niej wiemy. Mass-media swoją uwagę kierują na młodych ludzi jako potencjalnych konsumentów swojej produkcji. Ale czy rzeczywiście produkcja, jaką proponują ci, którzy ją wytwarzają, ma charakter młodzieżowy? Obecnie produkcja medialna dla młodzieży to towar jakościowy czy towar, który niesie niebezpieczeństwo dla normalnego rozwoju ludzkości? To jedno z pytań, na które szukali odpowiedzi uczestnicy kursu praktycznego *“Produkcja medialna dla młodzieży”*. Wśród tych, którzy w ciągu 10 dni szukali odpowiedzi na te i inne pytania byli pracownicy społecznych stacji telewizyjnych, radiostacji, uczelni, religijnych środków przekazu z Ukrainy, Polski, Rosji, Białorusi, Czech, Armenii i Łotwy. Wspólne pragnienie poznania nowego i podzielenia się własnym doświadczeniem połączyło przedstawicieli różnych wspólnot chrześcijańskich. I bez względu na przynależność konfesyjną poszukiwania te odbywały się przez pryzmat chrześcijańskiej moralności i nauczania.

Organizatorem tego ciekawego i twórczego kursu, jaki miał miejsce w czerwcu

2005 r., było Europejskie Centrum Kultury i Komunikacji w Warszawie-Falenicy. Jednym z problemów, którego dróg rozwiązania szukali uczestnicy kursu, była symbioza pytań: czy rzeczywistość w życiu codziennym współczesna młodzież silnie oddaliła się od Boga, i czy Słowo Boże nie może brzmieć tą mową, tą formą kultury, która jest wyrazem życia młodzieżowego. Psycholog p. Dorota Zawadzka zapoznała uczestników kursu z badaniami nt. co obecna telewizja proponuje uwadze młodego widza i jaki ten produkt ma wpływ na psychikę i formowanie się światopoglądu wczorajszego dziecka. I to jest faktem – chociaż nieprzyjemnym – że bez względu w jakim kraju włączysz telewizor (czy to będzie Ukraina, Polska, Rosja czy inny kraj) praktycznie nie znajdziesz programów dla młodzieży. A te które są, nierzadko są niskiej jakości, bez względu na charakter programu: rozrywkowy czy oświatowy. Ale konstatacja faktu nie oznacza, że należy przyjmować rzeczy takimi, jakie one są, i nie pragnąć jakościowych zmian. Właśnie dlatego uczestnicy kursu mieli możliwość spotkania się z ludźmi, którzy nie protestują przeciwko okrutności naszego świata. Oni po prostu swoją pracą zmieniają go na lepsze. Muzyk z zespołu "Armia" T. Budziński własnym przykładem pokazał, że o Bogu można mówić tym językiem, którym komunikujemy się w życiu codziennym, tą muzyką, którą słucha większość młodzieży – np. hard rock. Można wytwarzać wielce profesjonalnie wykonane filmy kinowe i filmy animowane dla dzieci i młodzieży, co ukazali organizatorzy corocznego Międzynarodowego Festiwalu Filmów dla Młodego Widza "Ale kino!" w Poznaniu. Internet – to obecnie środek mass-media,

który w szalonym tempie wyprzedza innych wytwórców i przekazicieli informacji. Ale co właśnie możemy znaleźć w globalnej sieci? Brak cenzury i szereg innych czynników, w tym interaktywność, sprzyjają szerokiej popularności. Ale nie trzeba bać się siły i wpływu internetu. Należy wykorzystywać go w celach bardziej szlachetnych. Za przykład mogą posłużyć autorzy portalu bosko.pl. A kiedy popatrzymy na listę czasopism i książek, które kupuje i czyta młodzież, po pierwsze można powiedzieć, że młodzież w ogóle nie czyta, po drugie, że czyta tylko rozrywkowe komiksy. Jednak redaktorzy wydawnictwa AGA-PRESS nakładami swoich czasopism oświatowych są przykładem czegoś odwrotnego. Film dokumentalny to złożona, ale i niezwykle ciekawa sprawa, szczególnie jeżeli zajmuje się nią taki profesjonalista, jak Mariusz Malec. Seria jego filmów dokumentalnych o polskich chłopcach w wieku 10-11, ich losy, marzenia i pragnienia, wzruszyła każdego, kto je oglądał. W taki sposób kurs praktyczny stał się tym doświadczeniem, którego nie można bać się, a należy przyjmować i adaptować. I wtedy rzeczywiście będzie można powiedzieć, że wiemy dlaczego świat jest taki wspaniały.

A pobyt w Warszawie przewidywał jeszcze wiele wycieczek, przeglądów filmów kinowych, filmów dokumentalnych, filmów stereo, zwiedzanie wystaw – wszystko to było w krótkim, jak by się zdawało, programie kursu. Stało się to jeszcze jednym z przykładów tego, że jeżeli pragniesz – osiągniesz, jeżeli będziesz pracować – wszystko zdążysz zrobić.

Wywiad

POJEDNANIE POLSKO- UKRAIŃSKIE NIE MOŻE SKOŃCZYĆ SIĘ NA DEKLARACJACH

Rozmowa z kard. Marianem
Jaworskim, łacińskim
metropolitą Lwowa

– Po 10 latach dyskusji i sporów 24 czerwca zostanie uroczystie otwarty Cmentarz Orląt we Lwowie. Dla Księdza Kardynała jest to szczególna chwila i osobista satysfakcja.

– Jest to dla mnie wielkie wydarzenie. Cmentarz Orląt został pięknie odnowiony. Jego otwarcie jest dla mnie «*signum temporis*», znakiem pojednania i nowych czasów. Pamiętam cmentarz z roku 1945 i późniejszą jego dewastację. Było to bardzo bolesne, tym bardziej, że o kulturze narodu świadczy m. in. jego szacunek dla cmentarzy. Groby są miejscami świętymi. Od wielu lat odprawiam 1 listopada na Cmentarzu Orląt Msze św. Zawsze w swoich kazaniach tam wygłaszanych podkreślałem, że Cmentarz Orląt i położony obok niego ukraiński cmentarz Strzelców

Siczowych mają się stać symbolem pojednania, podobnie jak św. Maksymilian Kolbe stał się symbolem pojednania polsko-niemieckiego. Oba narodom należy się szacunek. Walczący ze sobą w 1918 r. Polacy i Ukraińcy robili to w imię patriotyzmu. Dzisiaj te cmentarze wzywają nas, byśmy nasze konflikty rozwiązywali na drodze dialogu, współpracy i porozumienia.

– Jaki wpływ miała Pomarańczowa Rewolucja na Ukrainie np. na rozwiązanie problemu Cmentarza Orląt, który jest jednym z symboli procesu pojednania pomiędzy naszymi narodami?

– W sprawie samego Cmentarza Orląt stanowisko, wyłonionych w Pomarańczowej Rewolucji przywódców, prezydenta Wiktora Juszczenki i premiera pani Julii Tymoszenko było jednoznaczne. Dzięki temu, problem cmentarza został rozwiązany. Pomarańczowa Rewolucja w aspekcie relacji polsko-ukraińskich wywarła bardzo pozytywny wpływ psychologiczny i na świadomość społeczną mieszkańców przede wszystkim Ukrainy zachodniej. Zobaczyli oni, że w budowaniu demokratycznego i obywatelskiego społeczeństwa Polacy są razem z nimi.

– Otwarcie Cmentarza Orląt stanowi jeden z etapów pojednania Polaków i Ukraińców, procesu, który kontynuować będą przyszłe pokolenia. Jaki był wkład Kościoła rzymskokatolickiego w ten proces?

– Należy w tym procesie wyróżnić dwa wątki. Pierwszy, o którym wspominałem już, to wspólne modlitwy ze zwierzchnikiem Kościoła greckokatolic-



Spotkanie kardynałów Mariana Jaworskiego i Lubomira Huzara z prezydentem Wiktorem Juszczenką w Watykanie z okazji pogrzebu Jana Pawła II

Fot. ks. Andrzej Legowicz

kiego, kard. Lubomirem Huzarem na cmentarzu w uroczystość Wszystkich Świętych. Modlitwy te stały się świadectwem drogi ku pojednaniu, szczególnie dla ludzi, którzy jeszcze niedawno mówili, że Polacy chcą uczynić z Cmentarza Orląt panteon swojej chwały. Do zmiany stanowiska przyczynili się także prezydenci naszych krajów, którzy spotykali się na tym cmentarzu. W swoich przemówieniach wskazywali społeczeństwu, jaką drogą powinny iść.

Drugi wątek tego procesu to relacje na płaszczyźnie kościelnej. 19 czerwca podczas Krajowego Kongresu Eucharysty-

cznego ma zostać ogłoszony akt pojednania polsko-ukraińskiego. Ściśle mówiąc jest to inicjatywa Prymasa Polski kard. Józefa Glempa i Episkopatu Polski oraz kard. Lubomyra Huzara i Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego.

– Dlaczego w przygotowaniu tego aktu nie brał udziału Ukraiński Kościół Rzymskokatolicki?

– Nie wiem. Proszę pytać o to jego inicjatorów. Będzie to akt pojednania pomiędzy Episkopatem Polski i Ukraińskim Kościołem Greckokatolickim. Kiedy poinformowano mnie o tej inicjatywie

wyraziłem radość, ale zwróciłem również uwagę na to, aby pojednanie nie skończyło się tylko na deklaracjach odnoszących się do przeszłości. Potrzebne są przede wszystkim konkretne działania ze strony Kościoła grekokatolickiego i rzymskokatolickiego. Przypomniałem polskiemu Kościołowi, aby podczas spotkań roboczych z Kościołem grekokatolickim podejmowano obecne, realne problemy.

– Jakie to są problemy?

– Ograniczę się do kilku przykładów. Kiedy zostałem metropolitą Lwowa to w Tarnopolu, mieście wojewódzkim, została przejęta przez grekokatolików nasza świątynia. Nie mieliśmy gdzie odprawiać nabożeństw. Kościół grekokatolicki nie był zainteresowany współpracą z nami. Nie zaproponowano nam nawet, abyśmy mogli korzystać ze świątyni. Ostatecznie odprawialiśmy Msze św. w kaplicy cmentarnej. Było to dla nas bardzo bolesne. Wśród wiernych naszego Kościoła panowało przekonanie: *“Wysłali nas na cmentarz”*. Skończyło się na tym, że zaczęliśmy budowę nowego kościoła, która nadal trwa i mamy trudności z jej ukończeniem, gdyż jesteśmy małą i niezależną wspólnotą.

Inny przykład to nasza sytuacja w Brodach. Za zgodą dyrektora szkoły gimnastycznej, która znajdowała się w kościele, odprawialiśmy w nim nabożeństwa. Ówczesny zwierzchnik Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego kard. Myroslaw Lubacziwskij napisał list do władz, aby przekazano kościół grekokatolikom, bo stoi pusty. Usunięto nas siłą. Nie mieliśmy gdzie odprawiać. Kościół grekokatolicki ma kilka cerkwi. I znów po pewnym czasie musieliśmy podjąć decyzję o budowaniu nowej świątyni.



Podobna sytuacja zaistniała w Komarnie. Tam, aby Kościołowi rzymskokatolickiemu nie zwrócono świątyni miejscowi grekokatolicy zarejestrowali drugą wspólnotę i władze przyznały ją im, a nie nam. W rozwiązanie sprawy świątyni zaangażował się wówczas nuncjusz apostolski na Ukrainie, abp Antonio Franco. Wbrew umowie o wspólnym użytkowaniu, nie wpuszczono nas do świątyni. Co więcej, świątynia do dzisiaj stoi pusta. Nam nie chodzi o otrzymanie prawa własności, lecz o współużytkowanie świątyni. Mówię o tych sprawach z wielkim bólem. Nam naprawdę chodzi o pojednanie i braterskie relacje między obu Kościołami. Wierni pragną pojednania tu i teraz. Dlaczego nie możemy odprawiać nabożeństw w świątyniach innych wspólnot chrześcijańskich, tak jak to ma miejsce w większości krajów? Na wschodniej Ukrainie, tam gdzie grekokatolicy nie mają swoich świątyni, liturgie odprawiają w naszych kościołach, jak np. w Odessie.

Podkreślam, jesteśmy za pojednaniem, ale nie możemy też ignorować faktu, że

na Ukrainie istnieje wielowiekowa metropolia łacińska, która oczywiście pod względem narodowościowym bardzo się zmieniała. Większość naszych wiernych pochodzi z małżeństw mieszanych rzymskokatolickich, grekokatolickich czy prawosławnych. Odprawiamy Msze św. po polsku, ukraińsku i rosyjsku. Większość dzieci wychowywana jest w tradycji rzymskokatolickiej, ale nie zna polskiego. Nie można zatem mówić w formie zarzutu, że jesteśmy Kościołem polskim. Jesteśmy Kościołem powszechnym. Proszę pójść do naszej lwowskiej katedry i zobaczyć ilu wiernych żegna się na sposób wschodni.

– Jak zatem wyzbyć się tego fałszywego stereotypu, że Kościół rzymskokatolicki na Ukrainie jest Kościołem polskim?

– Wszystkich operujących takim stereotypem zapraszam do katedry we Lwowie, aby przejrzyli tam księgi metrykalne i zobaczyli, jakiej narodowości są osoby chrzczone, zawierające ślub, bierzmowane.

– Czy w sprawie rozwiązania konfliktów o świątynie nie można by powołać np. wspólnej komisji Kościoła



grekokatolickiego i rzymskokatolickiego? Nie podejmowano takich prób?

– Były takie próby. Na razie zmieniło się stanowisko władz państwowych. Coraz częściej mówią one nam, abyśmy załatwili te problemy między sobą. Zwracałem się w tych sprawach do kard. Huzara m. in. w sprawie zwrotu kościoła i klasztoru karmelitanek we Lwowie. Niestety, jego odpowiedź była niezadowolająca. Przypomniał swoje stanowisko, że zakony chcące pracować na Ukrainie powinny przyjmować ryt wschodni, a zakonnicy uczyć się języka ukraińskiego. Odpowiedziałem, że my nie przychodzimy do Kościoła grekokatolickiego, aby zakładać w jego ramach zakony. Nasz Kościół ma prawo zakładać własne wspólnoty zakonne.

Ponadto pojawiają się tutaj kwestie zwrotu własności. Nie można odmowy zwrotu argumentować tym, że wspólnota rzymskokatolicka liczy kilkadziesiąt tysięcy, a grekokatolicka – kilkaset tysięcy. Nasze spory musimy rozwiązywać na drodze wzajemnego szacunku i dialogu.

Wielu wiernych naszych wspólnot nie rozumie tych sporów, tym bardziej, że stanowimy jeden Kościół i różnią nas tylko obrządki.

– Aby doszło do pełnego pojednania między nami potrzebujemy jeszcze czasu. Może muszą minąć jedno, dwa pokolenia. Już teraz musimy nie tylko mówić i deklarować pojednanie, ale wprowadzać je w czyn. Ponadto nie możemy zafałszowywać historii, tak jak to ma m. in. miejsce w publikacji KUL-u *“Wielcy i mali prorocy w Europie Środkowo-Wschodniej XX wieku”*. Zaprezentowano w niej sylwetki świadków wiary

ubiegłego wieku różnych wyznań chrześcijańskich, religii, narodów. Niestety, nie ma w niej żadnego świadka wiary łacińskiej metropolii lwowskiej. Wiemy przecież, ilu duchownych i świeckich z naszej archidiecezji poginęło w sowieckich łągrach, czy zmarło na zsyłkach. Nie ma tam nazwisk abp. Józefa Bilczewskiego, biskupa łuckiego Adolfa Piotra Szelążka, kard. Kazimierza Świątka, ks. Tadeusza Fedorowicza i wielu innych. Jest to jeden z przykładów ignorowania Kościoła rzymskokatolickiego metropolii lwowskiej. Naszą wspólnotę potraktowano, jakby jej nigdy na Ukrainie nie było. Ks. Jan Zieja często powtarzał, że każde pojednanie musi przebiegać w prawdzie i sprawiedliwości.

- Jak w kontekście relacji ukraińsko-polskich sytuują się osobiste losy Księdza Kardynała?

- Urodziłem się we Lwowie. W 1945 r. wstąpiłem do seminarium i tego samego roku wyjechałem do Polski. W rok później wyjechali moi rodzice. Całe seminarium przeniesione zostało do Kalwarii Zebrzydowskiej. Do 1989 r. nie mogłem odwiedzać Ukrainy, a w 1991 r. Jan Paweł II mianował mnie metropolitą lwowskim.

- Pojednanie Polaków i Ukraińców głęboko leżało na sercu Janowi Pawłowi II. Stanowi ono część jego testamentu. Jak mamy go realizować, aby się jemu nie sprzeniewierzyć?

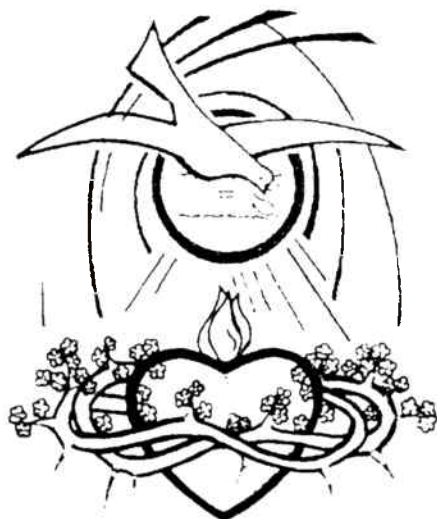
- Zawsze powracam do historycznej pielgrzymki Jana Pawła II na Ukrainę w 2001 roku. Wtedy rozpoczął się proces pojednania. Na wszystkich spotkaniach i nabożeństwach z udziałem Ojca Świętego w Kijowie i Lwowie modlili się łacinnicy,

grekokatolicy, prawosławni, a także wyznawcy innych religii. Papież przyjechał do wszystkich i nikt nie poczuł się odrącony. Pokazał nam drogę, którą powinniśmy iść.

Do końca życia był zainteresowany tym, co się dzieje na Ukrainie. Powtarzam to braciom-biskupom z Zachodu, że to, co dokonało się w Kościele rzymskokatolickim i grekokatolickim na Ukrainie, mógł zrobić tylko Jan Paweł II i Stolica Apostolska. Odrodzenie Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego wbrew sprzeciwowi Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego, ustanowienie struktury Kościoła rzymskokatolickiego w tym kraju jest dziełem Papieża Polaka.

*Rozmawiał
Krzysztof Tomasik*

[**“Wiadomości Kai” (Warszawa)
nr 25 (690) z 26 czerwca 2005 r.,
s. 15-16.]**



Wywiad

POGŁĘBIAJMY DUCHA POJEDNANIA

Rozmowa z kard.

Lubomyrem Huzarem,
zwierzchnikiem Ukraińskiego
Kościoła Greckokatolickiego

– Podpisanie polsko-ukraińskiego listu o przebaczeniu oraz sam akt modlitewnego pojednania polsko-ukraińskiego podczas Kongresów Eucharystycznych w Warszawie i Lwowie, otwarcie Cmentarza Orłąt w Lwowie - to kroki zbliżające nasze narody. Czy Ksiądz Kardynał jako inicjator procesu pojednania odczuwa satysfakcję z tego, co już się dokonało?

– List o przebaczeniu i modlitewny akt pojednania polsko-ukraińskiego jest bardzo ważnym krokiem ku zbliżeniu naszych narodów. Samo podpisanie dokumentu nie kończy ostatecznie całego procesu, ale jest ważnym krokiem w tym kierunku. Jego podpisanie przypada w czasie, kiedy panuje bardzo dobra atmosfera między naszymi narodami i państwami. Bóg tak sprawił, że oba narody są do siebie pozytywnie nastawione. Nie ma między nami żadnych napięć, choć w sercach wielu ludzi na pewno tkwią jeszcze historyczne zadry i nie są oni w stanie tego przezwyciężyć. Rozpoczynając pro-

ces pojednania należało się z tym liczyć i mieć tego świadomość.

Wraz z Prymasem Polski inicjując cztery lata temu proces pojednania, nie przypuszczaliśmy, że tak szybko do tego dojdzie. Myśleliśmy, że potrwa to co najmniej 7 lat. Mam nadzieję, że rozpoczęty na płaszczyźnie kościelnej proces będzie kontynuowany również w sferze państwowej, społecznej i kontaktów międzyludzkich.

– Dlaczego akt przebaczenia zostaje dokonany w czasie Kongresów Eucharystycznych, a nie wybrano np. jakiejś historycznej i ważnej daty dla obu narodów?

– Dobrze się złożyło, że podpisanie i ogłoszenie aktu pojednania przypadło w Roku Eucharystii i w czasie naszych Kongresów Eucharystycznych. Chcieliśmy złożyć tę deklarację właśnie w trakcie Eucharystii. Pierwotnie akt polsko-ukraińskiego pojednania planowano na wrzesień we Wrocławiu podczas obchodów 40. rocznicy pojednania Kościołów w Polsce i Niemczech.

– Czy podczas redagowania listu nie pojawiały się trudności ze strony Episkopatu Polski czy biskupów UKGK ?

– W tekście tego dokumentu nie ma niczego nowego, czego by już wcześniej nie powiedziano. Dokument wyjaśnia, dlaczego składamy deklarację pojednania między naszymi narodami i nawiązuje do tego, co rozpoczęło się niemal 60 lat temu, kiedy w rzymskim Kolegium św. Jozafata kard. August Hlond, ówczesny Prymas Polski, spotkał się z bp. Iwanem Buczko. List i akt pojednania jest naturalnym i koniecznym wymogiem naszej religii. Bóg obdarzył nas łaską chrześci-

jańskiej wiary i jako sąsiadujące ze sobą narody musieliśmy to zrobić. Chyba dzięki wstawiennictwu zmarłego papieża Jana Pawła II zrobiliśmy to teraz.

- A ze strony wiernych i duchowieństwa nie pojawiały się oznaki niechęci?

- Ze strony niektórych wiernych i duchownych mojego Kościoła można spotkać się z dystansem, a nawet oznakami niechęci wobec inicjatywy pojednania. Na przykład w Komarnie miejscowi grekokatolicy nie chcą dopuścić, aby wierni obrządku łacińskiego korzystali z ich świątyni. Jest to dla mnie zachowanie zupełnie irracjonalne. Wierni nie chcą ustąpić, mimo że w tej sprawie rozmawiali z nimi miejscowi biskupi, grecko-rzymskokatolicki, a także osobiście nuncjusz apostolski na Ukrainie. Są to jednak wypadki sporadyczne. Na podstawie doświadczeń wyniesionych z ubiegłorocznych, wspólnych pielgrzymek na Jasną Górę i do ukraińskiej Zarwanicy, mogę stwierdzić, że pojednanie polsko-ukraińskie cieszy się poparciem większości wiernych. Niektórzy osobiście mi za to dziękowali.

- Pojednanie polsko-ukraińskie byłoby niewyobrażalne bez wsparcia Jana Pawła II.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Jesteśmy mu za to bardzo wdzięczni. W czasie pielgrzymki na Ukrainę w 2001 r. cały czas zachęcał nas do tego, także podczas moich osobistych z nim kontaktów. Ostatnim, ważnym dowodem zaangażowania Jana Pawła II w sprawę polsko-ukraińskie był list z okazji 60. rocznicy mordów na Wołyniu w 2003 r.



- W jakim stopniu Pomarańczowa Rewolucja na Ukrainie przyspieszyła proces polsko-ukraińskiego pojednania?

- Zrodziła ona niezwykle pozytywne nastawienie Ukraińców wobec Polaków i odwrotnie. Ubiegły rok był bardzo ważny dla obu narodów. Z wielkim podziwem patrzyłem na Polaków, którzy w święta Bożego Narodzenia opuścili swoje rodziny i przyjechali do nas jako obserwatorzy wyborów prezydenckich. Tego nigdy nie zapomnę.

- List o przebaczeniu sygnują Episkopat Polski i biskupi Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego. Dlaczego zabrakło w pracach nad nim Ukraińskiego Kościoła Rzymskokatolickiego?

– Jest to dla nas bardzo trudne, gdyż nie wyłączamy Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie z procesu pojednania polsko-ukraińskiego. Kościół łaciński szuka swojej tożsamości nie mogąc się zdecydować, czy jest ukraińskim Kościołem obrządku rzymskiego, czy Kościołem polskiej mniejszości na Ukrainie. Jest to sprawa bardzo delikatna. Spotykając się na cmentarzu Łyczakowskim w uroczystość Wszystkich Świętych z kard. Marianem Jaworskim zawsze każdy z nas modlił się za swoich zmarłych. On za pochowanych tam polskich żołnierzy, ja za ukraińskich. Teraz podczas otwarcia 24 czerwca będzie podobnie. Nie modliliśmy się za zmarłych jednego Kościoła, lecz za łacinników i grekokatolików. Teraz zaprosiłem kard. Jaworskiego do uczestniczenia w naszym Kongresie Eucharystycznym.

– Oprócz Komarna, dochodzi i w innych miejscach do konfliktów pomiędzy grekokatolikami a łacinnikami na tle użytkowania, czy też zwrotu świątyń. Czy nie można powołać np. wspólnej komisji, która rozwiązywałaby te problemy?

– Nie wydaje mi się, żeby była ona potrzebna. Np. we Lwowie jest dużo świątyń rzymskokatolickich, które po

upadku komunizmu nam przekazano. Nie na własność, tylko w użytkowanie. Powtarzamy jasno, że nie chcemy ich zawłaszczać, lecz korzystamy z nich, gdyż takie są nasze potrzeby. Po II wojnie światowej sytuacja demograficzna na Ukrainie zachodniej radykalnie się zmieniła. Do 1939 r. większość mieszkańców Lwowa należała do Kościoła rzymskokatolickiego i byli to Polacy, teraz po 60 latach większość stanowią grekokatolicy. Szacuje się, że we Lwowie i okolicach żyje teraz ok. 25 tys. łacinników i ok. 600 tys. grekokatolików. Stąd potrzebujemy świątyń dla naszych wiernych. Sytuację komplikuje jeszcze fakt, że wiele naszych świątyń zajął Kościół prawosławny. Z czasem będzie potrzebne jakieś porozumienie między wszystkimi Kościołami, które ureguluje tę sprawę.

Chcę jeszcze raz podkreślić, że nikogo nie krzywdzimy. Wiernych Kościoła rzymskokatolickiego jest o wiele mniej. Powstaje praktyczne pytanie, czy są oni w stanie zapełnić wszystkie należące kiedyś do nich świątynie i je utrzymać? Pod względem własnościowym sytuacja świątyń jest tymczasowa. Gdy będziemy mieli dosyć własnych kościołów to je zwrócimy.

Dużo szumu zrobiło się wokół zwrotu klasztoru karmelitanek we Lwowie. Jest to olbrzymi kompleks, który na pewno nie będzie w pełni przez zakon wykorzystany, a nam jest on bardzo potrzebny, gdyż w tej okolicy mieszka wielu wiernych i nie mamy tam innej świątyni. Jeśli władze każą zwrócić klasztor to my to zrobimy, lecz na pewno siostry i Kościół rzymskokatolicki spotka się z wielkim niezadowolaniem naszych wiernych. W tych sprawach wszyscy jesteśmy ofiarami czasów wojny i okresu komunizmu oraz



związanych z nimi przesiedleń naszych narodów.

- Jak długo na Ukrainie będzie funkcjonował stereotyp Polaka jako wyłącznie rzymskiego katolika?

- Należy zaznaczyć, że konflikty między łacinnikami i grekokatolikami mają miejsce na zachodniej Ukrainie. Inaczej jest w centralnej części kraju. Tam grekokatolicy i wierni łacińscy bardzo dobrze współpracują, wspólnie użytkują świątynie. Nie mówi się tam o Kościele rzymskokatolickim jako o Kościele polskim, choć na rzymskokatolicką katedrę w Kijowie mówi się, że jest polska. Ma to uzasadnienie historyczne, gdyż przed II wojną światową zazwyczaj Ukraińcy byli grekokatolikami a Polacy, Niemcy, Węgrzy łacinnikami. Obecnie w Kijowie nie rozumie się tych problemów.

- Droga do pojednania polsko-ukraińskiego nie była, i jak widać, nie jest łatwa. Na naszych relacjach ciąży wieki wzajemnych win i uprzedzeń. Które z dotychczasowych etapów procesu pojednania uznalby Ksiądz Kardynał za najważniejsze?

- Dla mnie najważniejszy był ubiegły rok, kiedy hasłem naszych polsko-ukraińskich spotkań było: *"Módlmy się razem"*. Przede wszystkim dzięki modlitwie możemy przezwyciężyć trudności stojące na drodze pojednania. W pamięci pozostanie mi pielgrzymka młodzieży do grekokatolickiego klasztoru w Uniowie w maju 2004 r. Ze wzruszeniem wspominałam uczestniczącą w nabożeństwie młodzież Polski i Ukrainy.

- Wróćmy do czasów wielkich metropolitów Ukraińskiego Kościoła

Greckokatolickiego: abp. Andrzeja Szeptyckiego, kard. Josyfa Slipyja, Myrosława Iwana Lubacziwskiego. Czy już wtedy widziano potrzebę pojednania naszych narodów i Kościołów?

- Do 1939 r. roku wzajemne relacje były bardzo trudne. Cały czas ciążyła na nich pamięć wojny ukraińsko-polskiej. W latach 30. oficjalne kontakty były zamrożone, choć metropolita Szeptycki szukał porozumienia, ale polityka państwa polskiego całkowicie go uniemożliwiała. Lata wojny, zbrodnie popełniane przez Ukraińców na Polakach i odwrotnie, zbrodnicze wysiedlenia z końca lat 40. i początku 50. całkowicie to porozumienie uniemożliwiły. Do tego konflikt między nami cały czas podsycali Niemcy i sowieci. Czas wzajemnej niechęci, umiejętnie utrzymywanej przez reżim komunistyczny, trwał dziesięciolecia. Przełom nastąpił dopiero po upadku komunizmu w latach 90.

- Jak historia rodziny Księdza Kardynała wpisuje się w kontekst naszego pojednania?

- Mojej rodzinie ten konflikt specjalnie nie dotykał, choć w latach 20. mój ojciec nie został przyjęty na uniwersytet lwowski tylko dlatego, że był Ukraińcem i musiał emigrować. W domu nie odczuwałem jednak jakiejś specjalnej niechęci do Polaków. Żyjąc na emigracji spotykaliśmy się z Polakami i już wtedy doszliśmy do przekonania, że musi dojść do pojednania naszych narodów. Później w 1987 r. doszło w Rzymie do spotkania kard. Józefa Glempa i kard. Lubacziwskiego i nawiązania kontaktów. Na Ukrainie ludzie nawet o tym nie wiedzieli. Po upadku komunizmu spotkałem się z Prymasem Polski i powiedzieliśmy sobie, że

musimy zacząć coś robić w kierunku pojednania naszych Kościołów i narodów.

– Proces pojednania między naszymi narodami wydaje się być nieodwracalny. Jak powinna wyglądać nasza dalsza droga?

– Najważniejsza jest modlitwa. Potem spotkania i pielgrzymki pogłębiające nasze więzi. Ważne też będą wspólne spotkania biskupów. W naszym zamierzeniu będą miały one charakter bardziej towarzyski. W tym roku nam się raczej to nie uda, ale w przyszłym mam nadzieję spędzimy kilka wakacyjnych dni w Polsce lub na Ukrainie. We wrześniu spotkamy się we Wrocławiu na uroczystościach 40-lecia ogłoszenia listu biskupów polskich do niemieckich nt. przebaczenia. Wtedy też będziemy rozmawiać o sposobach pogłębiania ducha pojednania, szczególnie wśród biskupów i duchowieństwa, gdyż to oni są odpowiedzialni za życie duchowe społeczeństw.

Musimy robić wszystko, aby duch pojednania był cały czas pogłębiany poprzez zacieśniania przede wszystkim osobistych związków i kontaktów, aby nasze bycie razem stawało się czymś naturalnym.

*Rozmawiał
Krzysztof Tomasiak*

[“Wiadomości Kai” (Warszawa)
nr 25 (690) z 26 czerwca 2005 r.,
s. 17-18.]

Poezja

Jan TWARDOWSKI O KOŚCIELE

Kościole w którym wypadło mi po raz
[pierwszy w życiu
pić ustami mszę
chować się do konfesjonatu któremu stale
[odrastają uszy
w którym Matka Najświętsza miała złotą
[koronę i bosc nogi
w którym obraz świętej Tereski służył latem
[za plażę dla much
drewniany święty Antoni oblaźł z habitu
ciemny i czysty

Kościole w którym zieleniała miedź
zasłaniano sumienie listkiem brzoźowym
kolor nieba wyleniał jak szelest
smutny jakby jaskółki umiały tylko chodzić

Kościole z posadzką od pacierzy wytartą
[i krzywą
gdzie skrzypiały obcasy
pluskało korytko wody święconej
szczełał zegar jak emerytowany ludożerca
z amboną tak prostą że nie sposób było zakryć
na niej żadnym kazaniem swej własnej twarzy

Kościole przed którym klękał las
krzyżodzioby otwierały szyszki
łaskotał zajęczy szczaw
cieszyło babie lato jak grzech za lekki
fikały żaby a każda żaba ma zawsze czkawkę
jesienią czemiały coraz mocniej szpaki
zimą sikory sypiały na mrozie
parafianki rozbierały się ze śniegu
gdzie zamykałem Jezusa w tabernaculum
[zawsze z cząstką czyjegós płaczu
gdzie modliłem się żeby nigdy
[nie być ważnym

1965, 1986



Literatura

Ułás SAMCZUK
WOŁYŃ

III WIECZOREM (Początek)

Matwij raz jeszcze obchodzi swój sadek. Trzeba tam jeszcze niejedno poprawić, ot choćby pewniej podeprzeć którąś zanadto obciążoną gałąź. *“Podpórka zdaje się mocna, a sam zobacz, jak się ugięła”* – mówi nagłos. Podpiera, porządkuje.

– Żeby to tak Bóg dał sprzedać ten owoc, jak trzeba... A trzeba tych pieniędzy. Oj, trzeba, trzeba... Podparł, powstał chwilę. – *“No, ta jedna powinna dać ze trzydzieści pudów”* – myśli sobie, ociera ręce o spodnie i zdąża do stodoły. Po drodze podnosi kilka jabłek, która natrafia pod nogami i chowa je do kieszeni. W stodole *“przeklęte kury znów zapaskudziły klepisko, ale w nocy nieoporecznie porządek robić, chociaż Matwij ‘ścierpieć nie może, jak tu świństwo takie’... Poczekaj. Dostanie się za to Nastji. ‘Mówiłem jej sto razy: nie puszczaj mi kur do stodoły! Nie, baba bałą zostanie. Cholera’”*.

Zaszedł do obory: *“Co też tam te żrebaki robią”*. A one sobie spokojnie stoją, pobrząkują łańcuchami o żłób i smykają zza drabiny suchą koniczynę – Hi-hi-hi-

aaaa – odzywają się żrebaki... No, no, sokoliki – klepie je Matwij po tłustych zadach. – Żujcie sobie, żujcie. A jutro do pługa. A macie jeszcze sól? – i zagładnął do żłobu, – Nnno! Soli jeszcze dość. Wystarczy. Popatrzył pod krowy: – Aby cię trastja matj, taka pod krowami bajura. Mańka cała w błocie, ale jej wszystko jedno. Leży sobie i postękuje w ciemności. Zaświecił latarnię, włożył na stryszek, zrzucił kilka wiązek starej, zeszlórocznej słomy owsianej i rozsypał pod krowami.

Potem zdmuchnął latarnię i poszedł do chałupy. Wasyl zdążył już zaświecić małą naftową lampkę. Przytuliła się ona wstydliwie do komina, ale kopciła bezwstydnie... – Zdaje się, że nie ma nafty w lampie, – zauważa Matwij.

– Nie, nalałem.

– No, to dlaczego tak kopci? Skręcono trochę. Szkiełko rozbili. A żeby cię, na tobie w gospodarstwie w niczem polegać nie można.

– Szkiełko rozbił Wołodko. Wziął, trąbił na niem i trąbił, aż trzasło.

– Żebym ja tę starą sprzął kiedy dobrze, toby ona na was lepiej uważała... – powiedział Matwij, a potem nagle wyciągnął tenorkiem:

– A te cheruwimy!

Śpiewając tak, rozglądął się, podszedł do stołu i przeżegnał się zamasyżycie i szeroko przed ikonami. Ikon wisiało całe mnóstwo. Wszystkie staroświeckie, przyniesione jeszcze z Pocajowa. Zaświecił lampkę przed Bogiem-Sobaotem i morderwał się długo z Jenotem, który utopił się cały w oliwie, a grube, popękane palce Matwijaja nie były dość zręczne, żeby go stamtąd wyłowić.

I kiedy zapłonęło światło lampki, Matwij podszedł do kominka i zgasił

kopcałą lampę naftową, śpiewając dalej "o Cheruwymach". Potem nastał w chacie półmrok i tylko stare, zakopcone oblicza świętych i zasepione czoło Boga-Sobaota, oblane czerwonym światłem, tworzyło jaśniejszą plamę w mroku.

Wasył, który długo słuchał ojcowego śpiewania, nie wytrzymał wreszcie i, kiedy ojciec doszedł do słów "Świecie ty cichy", pociągnął i sam za starym drżącym, nieczystym dyszkantem. Ojciec nie zareagował i nawet nie zwrócił na to uwagi, jakby nic się nie stało. Pięknie i szczerze śpiewali jeszcze i słowa "Błogosławiony mąż", a gdy skończyli, przeszli na "Kiedyś sławni uczeni", o Judaszu niewiernym, który za trzydzieści srebrników "sędziom nieprawym ciebie sędzię spraaaawieeedliwego sprzedaje..."

A noc była ciemna i bezksiężycowa...

Księżyc wszędzie po północy, bo już dawno po pełni. Futur stoi, ogarnięty i okutany ścisłą, przedjesienną mgłą.

Klekot młyna wstrząsa mgłą, która zakrywa płochliwe gwiazdki, migające i przeświecające strzeliście gdzieś, za zastawską sośniną. Gęsty, kłębiasty tuman mgły popłynął w łęgi. Pochylone wierzby i łożyny, obsypane perłami z rosy, jakby się śmiały i płakały zarazem.

Pomiędzy młynem i futorem, z latarnią w rękach, wlokąc za rękę zaspianego i zmęczonego Wołodko, wraca "do swoich" Nastja. Latarnię wzięła od brata Makara, który "służy przy konduktorach" "na czuhunce" [1] i dlatego latarnia ma jedną szybką zieloną, dwie białe i jedną czerwoną. Długaśne smugi oświeconej światłem mgły ciągnęła za sobą ta słaba kobieta. Wołodko ledwie już drepce, ale nawet na chwilę nie może pohamować ciekawości i zasypuje matkę

pytaniami: – i po co wybraliśmy się tak daleko z Dermania? Tam jest tyle chłopaków. Cały dzień ma tam z kim się bawić.

Alboż to matka wie po co? Tylko Bóg święty wie jeden i ojciec drugi. I ta stara to wogóle... Co mu będzie odpowiadać? A Wołodko opowiada zato dokładnie wszystko: kiedy matka siedziała "u swoich", jak to on spotkał się z Andrijem i Chwedotem Kuchdośkym i z Trychonowym Archypem... Jak spoczątku oglądał jeden drugiego. Wszyscy zazdrościli tylko, że on, Wołodko, ma taki lakierowany, rzemienny pas z blachą i z orłem. A potem poszli do leszczynowego lasku. Szukali tam za orzechami, zakładali ogień, piekli jabłka, strzelali pieczonemi orzechami laskowemi i opowiadali sobie bajki. Zdażył już przytem Wołodko opowiedzieć kilka z nich matce. Potem poszli do kamieniołomów, zbierali tam muszelki, kopali glinę garncarską i lepili z niej garnczki, półmiski, małe stępy, kółka i młotki.

A potem przyszedł Mechtod i razem zaczęli bawić się w kowali. Mechtod zawsze bawi się w kowala. Ma on w ogrodzie dziką gruszkę z dziuplą, a w niej pełno krzemiennych młotów, siekier, noży. Wszystko to pozbił Mechtod na Wałach. A dzisiaj zbił Olgę za to, że chciała się ze mną bawić w szynk. Urządziliśmy szynk w trychonowej brzezynie... Tam baba Domacha trzymała na wiosnę swoją kwoczkę, ale jastrząb ją porwał. A Mechtod powiada: Nie przychodźcie tutaj. Dlaczego? – mówię. Tam był nieboszczyk... Jaki? Tam jastrząb zabił kwoczkę. Przynieście mi kawałek żelaza na koło... A żelazo robiliśmy z błota... Olga mówi: a ja chcę bawić się z Wołodkiem w szynk. A Mechtod zerwał

się i trach-trach Olgę po plecach... A Olga mówi mu: cholera ty, cholera ty... Trzy razy mu tak powiedziała: cholera ty. A do tego Olga schowała najpiękniejszą "skremejdę" Mechtoda.

– A co to takiego skremejda?... – pyta matka. Wołodko nie od razu odpowiedział. Był naprzód bardzo zdziwiony: – jak to, matka nie wie, co to "skremejda"? O tem wiedzą chyba wszyscy ludzie...

– To taki krzywy kij. Jeździ się na nim, albo wierzchem, albo można także pędzić ją przed sobą. Jak się ten krzywy kij dobrze wyszoruje, robi się bardzo gładki. Nasi chłopcy mają po pięć, sześć takich "skremejd". I ja kupiłem sobie od Mechtoda i dałem mu za to dziesięć rubli.

– A skądę ty wziął te ruble? – znowu to matczyne zadziwiające pytanie. Wołodko rozgniewał się.

– My mamy zamiast pieniędzy muszelki. Wiecie? I za nie można u nas dostać wszystkiego. I nawet Archyp musiał sprzedać swoją nową czapkę, bo potrzebował pieniędzy na "skremejdę". Bo swoją złamał przy jeździe. Ale Trychon przyszedł do ojca Mechtoda i przyprowadził za ucho Archypa: – Komuś dał czapkę? Mów. I Mechtod przestraszył się: – Ja, mów, kupiłem...

– A ty, mać twoja taka i taka – mówi Pańko. Oddaj Archypowi czapkę. A w tej czapce Mechtod miał swój "skarb". Włożył ją do starego ula pod daszkiem i mysz wyjadła w niej wielkie dziurzynsko. No, dostało się za to i Mechtodowi i Archypowi. Chrystja załatała czapkę, a Archypa przezywamy teraz "łysy", bo łatka na czapce nie taka czarna jak czapka sama...

– No, no – znowu wtrąca się matka. – Żeby się tak czasem i tobie nie dostało?

I zacóż to on, Boże ty mój, miałby dostać? To zdumiewa Wołodka do tego

stopnia, że wogóle przestaje mówić. Rozmyśla tylko. Przez cały czas, przez który matka siedzi "u swoich" u dziadka albo u stryjów, Wołodko może się bawić... Jest mu naprawdę przyjemnie. Nieraz do tego stopnia przejmie się zabawą, że zapomina o śniadaniu, obiedzie i kolacji. Orzechy, gruszki, jabłka wyzwalają go od niemiłego obowiązku – od wspólnego obiadu. Po pierwsze, nie znosi towarzystwa dorosłych, a po drugie, jeden dzień niedzielny dostarcza mu wrażeń na cały tydzień życia w futorze. W jednej tylko sprawie uznaje towarzystwo dorosłych, mianowicie "nieszpory w klasztorze". Bo "iść na nieszpory" to – pójście na wieczorną wyprawę do klasztoru. A "oni" robią to z początkiem jesieni przez cały rok aż do późnej wiosny. W tym celu starsi i młodszy i całkiem mali zbierają się wielkim tłumem... zostawiając w domu tylko tych, którzy nie mogą iść razem z wszystkimi. Wtedy jest zawsze wesoło, wiele jest śmiechu i różnych przygód. Powraca się dopiero w nocy, a idzie się przez laszową osadę, w której rosną ogromne brzozy, dęby i piękne grzyby w leśnych zarosłakach. Gospodarz na tej osadzie był to wielki nicpoń i pijak i skończył niewesoło, bo pewnego razu znaleziono go na strychu, gdzie powiesił się na postronku, przywiązany do belki. Opowiadają teraz, że nie raz i nie dwa widziano strasznego wisielca Łaszę z postronkiem na szyi, z wywieszonym językiem i wylupionymi oczyma, jak stał na ścieżce i straszyl, żeby ludzie nie chodzili przez jego osadę. Jak więc tutaj, idąc na nieszpory, nie iść wielkim tłumem?

Ale Wołodko lubi chodzić na nieszpory nie dlatego, że idzie tyle ludzi, bo i tak po nieszporach trzeba się odłączyć od

wszystkich i iść na futor. On uwielbia samą wieczorną wyprawę i wogóle klasztor. Stara to budowla i prastare, pogryzione przez Czas mury. Wysoka dzwonnica z szeroką, żelazną bramą. Ogromne świerki, któremi od sam Bóg wie tylko jakich czasów, wysadzone są klasztorne aleje, wszystko to wprowadza Wołodka w szczególny jakiś, odmienny od codziennego nastrój. Lubi on, kiedy słońce już zapadnie, być wtedy na klasztorzem podwórzu, gdy szumią mu nad głową te świerki, obwieszzone długimi szyszkami: Sz-sz-sz-sz!... Sz-sz-sz-sz!... Szumią nieustannie i zawsze, nawet w zupełnej ciszy i na bezwietrzu. A ludzie schodzą się na nieszpory i pogwarzają. Zaczyna rozbrzmiewać dzwon.

Jego dźwięki wydają się wtedy ciężkimi kroplami czegoś bardzo ciepłego, powoli sączą się na ziemię, która chłonie je chciwie... I mały Wołodko zadziera wtedy wysoko, wysoko głowę do góry, tak że czapka opada mu wstecz i usiłuje zobaczyć, jak to też tak dźwięczy ten dzwon. Od tego głosu robi mu się jakoś dobrze i wesoło, tak, że chce mu się krzyzczeć. I zrobiłby to, ale tu przecież nie las i nie pole. Naokoło tyle ludzi. Śmiałyby się z niego.

Ze wszystkich stron klasztoru sady. Śliweczki, gruszczyki. A dalej, na wschód klasztorne gospodarstwo – długie stajnie, stodoły i suszarnie owoców. Słychać stamtąd zawsze bełkotanie niemego świniarka Huły, który śmiesznie utyka na prawą nogę i pali zawsze niezmiernie długą i pojemną fajkę. Wejdzie tam chyba z pół korca machorki. O, że wlezie, to wlezie. Wszystko tu Wołodka zaciekawia, wszystko go zachwyca. Podoba mu się nawet ten trzask butów, uderzających o drewniany bruk w długiej bramie pod

dzwonnica. I przechodząc tędy zawsze umyślnie tupie tam mocniej nogami, a potem przysłuchuje się.

W klasztorze panuje tajemnicza cisza. Zakonnicy snują się powoli poważni i uroczyści to tędy to owędy w swoich długich habitach. Główna cerkiew, którą nazywają "zimną", w samym środku klasztoru, otoczona jest niewielkim sadkiem, w którym rosną wielkie, stare orzechy i kasztany, okolone szeregami potężnych, szumiących świerków. W tym sadku widać grupkę mogiłek pod ciężkimi, granitowymi płytami. Panuje tam zawsze chłód, zawsze jest tam wilgotnie i zawsze odczuwa się niemiłą woń.

Na parkanie, który otacza, sad, siedzą zawsze chłopcy i dziewczęta. Wyfuskują pestki słoneczników i żartują wcale nieskromnie. Mało ich obchodzi bliskość cerkwi. Mnisi wypędzają ich, czasem smarują poręczę częstokołu sadzą, albo dziegiem i wtedy niejedna piękność wymaruje na czarno swoją barwistą suknię. Ale z tego bywa tyle śmiechu, że warto czasem poświęcić na to jedną suknię.

I kiedy Wołodko szwenda się tutaj, kpią sobie z niego parobcy i wypędzają, strasząc, że go "wycharatają"... Wołodko wie bardzo dobrze, co to znaczy "wycharatać", ale nie bardzo się tego boi. Uśmiecha się nieśmiało, odważy się czasem na jakiś słowny sprzeciw, czy nawet żart, ale jednak woli pójść sobie precz. Najczęściej idzie wtedy do cerkwi, bo nieszpory zaczynają się. Matka stoi w cerkwi, od kiedy tylko przyszła, czy Służba Boża już się zaczęła, czy nie. Przychodzi zawsze wcześniej dlatego, żeby móc zająć swoje miejsce pod obrazem świętego Teodora, kniazia Ostrońskiego, którego obraz odgradzono żelazną kratą. Kto go chce ucałować, ten

musi podejść o kilka stopni wyżej po schodkach i pocałować w paznokcie wielkiego palca prawej nogi, bo tam, jak mówią, przechowują cząstkę relikwii tego świętego; właśnie w samym paznokciu palca u prawej nogi...

Przed obrazem, na żelaznym ogrodzeniu błyszczą całe rządy świeczników. A wszystkie obwieszane drobnymi, kopiejkowymi ofiarami i ciepło bije zawsze od ich płomienia i pachnie zawsze dobrym, pszczelnym woskiem.

Modlić się Wołodko w cerkwi nigdy nie modli. Dla niego jest tu zbyt wiele przykuwających uwagę rzeczy, żeby się mógł skupić i trwać w modlitewnym nastroju. I grube, cerkiewne ściany i wysokie, wysokie okiennice i malowania na ścianach i złocenia i mnisi w wysokich, czarnych kołpakach i uczniowie nauczycielskiego seminarjum, którzy zajmują lewą nawę i śpiewają bardzo pięknie. To najbardziej obezwładnia go, odciąga uwagę od okien, malowań, złoczeń, uczniowskich czapek "z gwiazdkami", bierze władczo duszę i serce w swoje objęcia i niesie w jakieś nieznanne, fantastyczne krainy... Oto wychodzi cały szereg mnichów w kołpakach. Stają w podkowie w środku cerkwi dookoła ołtarza. W ich środku i humen-przełożony a od niego w prawo i lewo jak długie skrzydła, czarne postacie.

W cerkwi ciemnawo. Ledwie, ledwie dostrzec można poszczególne sylwetki nawpół śpiących tu ludzi. Mnisi stoją, zamierają na chwilę i zniemają, w ciszy, wśród ogólnego spokoju rozbrzmiewa skądś:

"Świecie cichy... Świętyni, sławy –
Niesmiertelnego.

"Ojca Niebieskiego..."

Wołodko zamyka oczy, znajduje ciepłą i twardą rękę matczyną, ścisną ją mocno w swoich rączkach i zamiera.

Chór mnichów odpowiada śpiewem. Tak samo cicho i niespodziewanie mnisi rozchodzą się i kiedy Wołodko ocknie się, cerkiew jest już opustoszała. Tylko chór seminarzystów zaczyna odśpiewywać różne cerkiewne pieśni wieczorne. Wołodkowi podobają się okropnie ich piękne mundury. Kiedy dorosnie, jeżeli mu tato nie zabroni, zapisze się napewno do tych uczniów, będzie śpiewać na chórze i ubierze taki sam cudowny mundur. A na szerokich, granitowych półokiennicach leży pełno uczniowskich czapek z gwiazdkami. Kiedy już sam będzie uczniem, będzie także kładł tutaj swoją czapkę. Ach, jak bardzo chciałby mieć już teraz taką czapkę...

I jak tu po tem wszystkim, wracając do domu, nie wypytywać się matki? Jak zachować się zwyczajnie? Jak powstrzymać ciekawość? A dlaczego ci mnisi noszą takie długie ubrania? A czy noszą spodnie? A co robią pozatem? A kto to zbudował taką cerkiew i dzwonnice? A dlaczego spadają gwiazdy? I dokąd płynie ta rzeczka, przez którą muszą przechodzić i zawsze się boją, żeby nie wpaść do wody, bo kładka taka niepewna i wąska?

Matka aż się gubi w takiej gęstwie pytań. "Zapytaj ojca" – odpowiada. – Ojciec wie.

– A jakże, pomyślał Wołodko. Zapytaj, kiedy tato zawsze taki... taki ponury i plecy zawsze go boją...

Wołodko wierzył, że ojciec rzeczywiście wie bardzo wiele, ale dlatego też nie chce nic mówić, że tyle wie.

I tak, błędząc trochę w tej mgłę, zbliżają się matka i syn do swego futuro. Zdaleka widać już było światło ich latarni i ich mgliste kontury w głębokim mroku i

słychać było urywane brzmienie głosu zaspanego i nieprzytomnego po tej całodziennej bieganinie Wołodka.

Gdy wchodzili na własne podwórze, jeszcze na drodze słyszeli śpiew Matwija i Wasyla. Ledwie, ledwie mającą słabo oświetlone okienka ich chałupy. Światło latarni wylało się na zarosłe zielskiem podwórze. Matka zastukała w drzwi. Spoczątku nie słychać było nic prócz dochodzącego tutaj śpiewu.

“Cudowne są dzieła Twooje, Paaaanie... Stwoooooorzenia Twoooooje wszeeeeelkie... Stwoooooorzenia wszeeeeelkie...” dochodził głos z chaty...

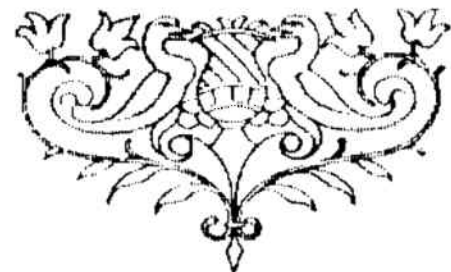
– A to go wzięło – mówi matka. Jeszczeby tylko tego brakowało, żeby jaki złodziejacha wszystko bydło wywlókł – i nicby nie usłyszał... Otwórz!... – i zastukała bardzo mocno.

Śpiew urwał się nagle. Zaskrzypiały jedne drzwi, a potem odsunęła się żelazna zasuwka w drugich i w ich obramieniu zamajaczyła niewyraźna i biała postać ojca...

To ci dopiero mrok! Hospody powiedział. No, wchodźcie, wchodźcie – i wszyscy weszli do chałupy.

Matka, nie rozbierając się, usiadła odrazu na ławie. – Och, ale się zmęczyłam – mówi i sapie ciężko.

A Wołodko, rozbierając się, jęknął: – Maaamo! Jeść! Jeść! Jeść dajcie. A z pieca odrazu wtóruje i głosik Chwedota:



– Ja także chcę...

– Mamo! – Od samego obiadu Właściwie nic nie jadł, czekając cierpliwie na powrót matki.

– Dzieci moje, poczekajcież! Przecież się nie rozerwę. Dajcie odsapnąć... Och, och, och!... ale wstała.

Ciepłego już nic nie było. Przyszło wieczerać, co Bóg dał. Stara poszła do sieni i przyniosła garncezek kwaśnego mleka i, wprzód zbełtawszy je, wlała do wielkiej, glinianej miski. Uzbroiwszy się w drewniane łyżki, rozsiadła się rodzina dookoła miski i szczęki zaczęły pracować. Ojciec jadł powoli, taktownie i rozważnie, trzymając w lewej, równie poważnej ręce kawał czarnego chleba. Matka nie mogła go naśladować, bo już nie miała trzonowych zębów. Musiała żuć przodniemi. Wasyl i Wołodko szybko poruszali łyżkami, zapychając sobie usta nierozgryzionym dobrze chlebem. Najgorzej popisywał się Chwedot. Usiłując nadażyć za innymi w tempie jedzenia, nabierał pełną łyżkę, rozlewając przytem wszystko na stół zupełnie już niemożliwie...

– Weźże tego prosiaka – nie wytrzymał wreszcie ojciec. – Nalej mu do jakiego garnuszka i postaw pod stołem.

Chwedot odczuwa ostrze obrazy tak samo jak i głód, ale ogromna kałuża z mleka na stole kpi sobie dotkliwie z jego ludzkiej godności. Nie pozostaje mu nic innego, jak tylko ścierpieć wszystko w milczeniu, powstrzymując zupełnie nieproszone łzy urażonej ambicji.

Bo matka posłuchała rady. Nalała Chwedotowi do osobnej do miseczki, tyle, że nie postawiła jej pod stołem, lecz na stole. Ale teraz już mu tak nie smakuje. Zniknął zapał do jedzenia i cała stąd wynikająca przyjemność. Czuje się odtrącony od reszty rodziny i obrażony z tego

powodu. Dlatego też zaczął i grymasić. W końcu dostaje od ojca za wszystko klapsa i idzie spać.

Ale czy można od razu zasnąć po tem wszystkim? Po kolacji ojciec i matka zaczęli rozmawiać. Matka opowiada, jakie to chodzą po wsi wieści – mają parcelować Zastawie. Wielu ludzi szuka już nawet za pieniędzmi. – Boże, Boże! Cóż to znaczy takie Zastawie dla takiego mnóstwa ludzi – powiedziała. Rozchwytają po kawaleczku.

Ta wiadomość zastanowiła także ojca. Milczy i tylko od czasu do czasu podrapie się w głowę. A potem opowiedział o swojej dzisiejszej rozmowie z Hryhorczukiem, czem matka tak samo się ucieszyła, jak i zasmuciła.

– Dokupić pod progiem taki szmat pola... Ha! Dobrzeby to było. Tylko skąd tu wziąć takie mnóstwo pieniędzy?

Chwedot nie spał jeszcze i chciał, żeby go matka popieściła, żeby mógł zapomnieć o swojej obrazie. Wstał i nie przeszkadzając w rozmowie włożył na ręce matki i pochylił głowę na jej piersi. Matka gładziła tę główkę...

– Oj, dzieci, dzieci! Jak to ciężko zdobyć te pieniądze. A bez nich cóżeśmy wszyscy warci.

– Ja pójdę, mamó, kołędować na Boże Narodzenie. Do mielnika, do pobereźnika. A za trzy lata pójdę do szkoły. Wyrosnę, będę się uczył i zarobię pieniądze – zaszczębiotał Wołodko.

Wzrok ojca spoczął na gadule i mały osiadł na miejscu... Widocznie chciał jeszcze coś powiedzieć, ale już się nie odważył. Wyręczył go Chwedot.

– A ja także pójdę z Wołodkiem kołędować... Uśmiechnęli się wszyscy, nawet ojciec. Wołodko zauważył ojcowski uśmiezek i poweselał. To znaczy, że nie powiedział bardzo wielkiego głupstwa.

Matka, uśmiechając się gorzko, gładziła dzieci po głowie.

– Oj, ciężkoby mi było i trudno z takimi robotnikami. Rozbierajcie się no i spać...

I dzieci poszły spać, ale rodzice nie kładli się jeszcze długo i rozmawiali o kupnie ziemi.

Jednakże Wołodko nie mógł od razu zasnąć. Pilnie przysłuchuje się z zamrużonemi oczyma rozmowie rodziców. Dołączył się do tego jeszcze w myślach tak bogaty we wrażenia dzień: zabawy z chłopakami, klasztor, mnisi, uczniowie i cała wyprawa do Dermania i spowrotem.

A po części niewiele rozumiał z rozmowy rodziców. Nie umie się przejąć ich zwiększonymi kłopotami pieniędzmi. Po co im pieniądze? Po co im ta ziemia? Mają chleb, kartofle, słoninę, mleko. Czegóż im jeszcze trzeba? Czy na to, żeby, jak dorośnie, miał ziemię? A czy jemu ta ziemia będzie potrzebna? Ot, on butów nie ma. Nie ma porządných spodni...

Jednakże rodziców najwidoczniej mało obchodziły jego porcięta, martwili się natomiast jak i gdzieby tu dostać pieniędzy. Coby tu można sprzedać? Jak Wyciągnąć z chlebem do nowego zbioru? Ileby można dostać tych rubli za wykarmioną lochę? To i co. To interesuje starych do tego stopnia, że aż sprzeczą się uparcie i jedno przekonuje drugie.

(cdn.)

Przypisy:

[1] "Czuhunka" – kolej żelazna.



Wierzyć w Chrystusa

TWOJE POWROTY

Odejście od Kościoła może być pozornie nagłe, gwałtowne. Coś się stanie, dojdzie do jakiegoś wielkiego przewrótka, do jakiegoś wielkiego zła. Ale tak naprawdę – nic nie dzieje się „nagle” w tym wymiarze: w wymiarze miłości. To jest proces, który narasta, aż wreszcie wybuchą czymś wyraźnie wielkim. Przeważnie zresztą nie wybuchają wcale, tylko prowadzi po prostu do ostygnięcia, oziębienia. Być może taki człowiek w dalszym ciągu chodzi do kościoła w każdą niedzielę i wszystkie święta. Gdyby się ktoś go spytał, czy wie, kim jest Jezus, na pewno będzie długo i obszernie mógł na ten temat opowiadać, a nawet bronić Go przed rozmaitymi zarzutami. Ale z jego życia Jezus zniknął. Przeszedł być dla niego

wzorem postępowania na co dzień. Człowiek chce się wreszcie rozgościć w życiu, rozsiać na tym świecie. To jest proces, który się czasem rozpoczyna już od dziecka, czasem od okresu dojrzewania, czasem jeszcze później, kiedy człowieka „uczają rozumu”, kiedy mu mówią, żeby nie był naiwny, żeby się uczył żyć. I człowiek „uczy się rozumu”. On sam może nawet być jakoś zadowolony z tego, że już wie, jak żyć. Ale to jest tylko zwyczajne, życiowe cwaniactwo, w którym nie ma za grosz miłości; to nie jest prawdziwe życie, tylko gra, pozory, ślizganie się: umiejętność przepychania się pomiędzy ludźmi – zależnie od okoliczności – uśmiechem, dobrym słowem, ukłonem, uniżonością aż do lizusostwa albo brutalnością, zepchnięciem drugiego, uderzeniem. Światło zgasło, w głębi duszy jest już pusto, ciemno – nie ma miłości. I to jest koniec.

Właściwie nie ma na taką postawę lekarstwa. Myśląc kategoriami ludzkimi, sprawa jest absolutnie beznadziejna. Zamknąłeś się w szczelną skorupę swego egoizmu i nic cię nie obchodzi poza twoim interesem, twoją korzyścią, poza twoją wygodą, przyjemnością. Tak traktujesz naukę czy pracę, ludzi, spotkania, rzeczy, obowiązki. W dodatku wcisnąłeś sobie na twarz maskę silnego, pewnego siebie, tego, kto ma rację, a może uprzejmego i serdecznego – i już jej nie zdejmujesz. Najwyżej zmieniasz, ale nawet na moment nie ukazując wobec ludzi prawdziwej twarzy. Już wiesz, już się nauczyłeś – już cię nauczyli – że tego robić nie wolno. Bo gdy inni zobaczą twoją słabość, odkryją twój słaby punkt – wtedy uderzą. Nauczyłeś się czegoś więcej – że już nawet ci nie wolno maski zdjąć przed samym sobą, bo to byłaby



połowa przyznania się do winy przed ludźmi. Wobec tego już nawet ty sam siebie nie widzisz. Jaka jest więc szansa na zmianę: na powrót do Miłości? Po ludzku mówiąc – żadna. Ale czasem przyjdzie COŚ – co potem nazywamy Łaską.

Jest taki obraz tajemniczego malarza – Michała Caravaggio; znajduje się w kościele św. Ludwika w Rzymie; bardzo jestem do niego przywiązany: Przy stole, zajęci leżącymi na nim stosami pieniędzy, siedzą jacyś ludzie; tylko celnik Lewi, przyszedłszy św. Mateusz, patrzy na Jezusa stojącego w drzwiach – Jezus pokazuje palcem na niego. Lewi zdaje się pytać: *“O mnie chodzi? Może o któregoś z nich? To o mnie chodzi?”*

Pojawi się niepokój, który się budzi w duszy i drażni jak kamyk uwierający nogę w butcie; niepokój, jak jakiś gwizd za sobą – czy o to chodzi? Zrodzi się przeżycie, które podejdzie niepostrzeżenie – jakieś niezadowolenie z siebie – albo które spadnie niespodziewanie jak grom na Szawła. I nagle zobaczysz się bez maski. To może być wstrząs tak potworny, że wprost trudno ci będzie wytrzymać widok siebie samego. Wtedy nabierzesz takiej pogardy do siebie, takiego obrzydzenia, że uciekniesz do ludzi, żeby tylko nie myśleć o sobie. I to może stać się początkiem twojej odnowy: powrotu do życia – zerwania z kombinatorstwem, obłudą, kupczeniem i handlowaniem – byle zawsze wygrać, zarobić, iść krok dalej; to może być początek twojego życia dla Dobra, Prawdy i Piękna – dla Boga samego.

Spowiedź jest wynikiem postawy pokutnej. Gdy jej nie masz, to nie ma miejsca na spowiedź. Wtedy stwierdzisz, że nie masz się z czego spowiadać. Ale mama mówi, i babcia mówi, i ewentualnie



jeszcze nie wiem, kto mówi: *“Idźże do tej spowiedzi, bo już czas wielkanocny”*. *“No i co powiem księdzu?”* Bardzo słusznie. Jak jesteś w takim stanie, to gdy już musisz przyjść do konfesjonatu, przyjdź i pogadaj o pogodzie albo o starych Polakach – wszystko jedno. Ale nie okłamuj siebie i Pana Boga, bo to nie ma sensu.

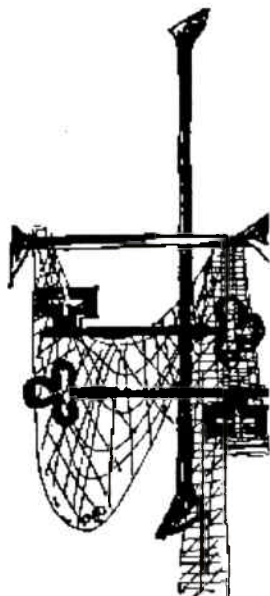
Po tym, co powiedziałem, mógłby ktoś sobie pomyśleć: Ach, na to ja poczekam na dotknięcie Łaski; to wobec tego ja pójdę do spowiedzi wtedy, gdy Bóg da mi Łaskę postawy pokutnej. Pozornie rozumowanie poprawne, tylko nie zapominaj, że przystąpienie do sakramentu jest nie tylko wyrazem twojej postawy, ale że sakrament daje Łaskę postawy pokutnej. Dialektyka wyrazu i przekazu polega właśnie na tym, że możesz świadomie sięgnąć po sakrament, żeby poprzez niego otrzymać Łaskę. Możesz wyciągnąć rękę: *“Tak, ja sobie zdaję sprawę, że we mnie nie ma postawy pokutnej, ale mam – chociaż daleką, ale mam – świadomość, że coś jest ze mną niedobrze”*.

Rachunek sumienia, żal za grzechy, postanowienie poprawy, spowiedź, zadośćuczynienie. Jest to znakomita okazja do tego, żebyś się zastanowił nad swoim życiem, nad przebytymi dniami, tygodniami, miesiącami. Kontrola? Nie tylko. Bo może odkryjesz w trakcie tego zastanawiania się nad sobą, przy takim metodycznym przyglądaniu się twojemu stosunkowi do Boga, do bliźniego i do siebie samego, że nie jest całkiem dobrze z tobą, jak to ci się początkowo wydawało. Spostrzeżesz pęknięcia, nawisy, zaniedbania, których w twoim codziennym zagonionym życiu nie zauważałeś – nie miałeś na to czasu. Zdasz sobie sprawę, czym to ci grozi, nawet nie w dalekiej przyszłości, ale w najbliższej przyszłości. Stwierdzisz, że niebezpieczeństwo jest w tobie, że już teraz jest z tobą źle. Może być też, że konfrontując w rachunku sumienia nakazy miłości Boga i bliźniego z tym, jakie jest twoje postępowanie, zobaczysz ze zdziwieniem, z niepokojem, a może nawet z przerażeniem, że to są obce dwa światy. Inne motywy działania, inne intencje, inne metody postępowania. Tak w domu jak poza domem. Lenistwo, pycha, samowola, zazdrość, chciwość, wyrachowanie, interesowność, niepanowanie nad swoimi wybuchami gniewu. I tak dzień za dniem coraz gorzej. I wtedy może poczujesz się jak ten, który siedział przy drodze i wołał: *“Jezusie, Synu Dawida, zmiłuj się nade mną”*. Ty, który twierdzisz, że nie widzisz, słyszysz, jak mówią ci, że jest świat kolorowy, mówią ci, że Jest słońce, mówią ci, że są barwy, że są cienie i światła, ale ty sam tego wciąż nie widzisz. – I gdy przyprowadzili go do Jezusa i Jezus spytał: *“Co chcesz, abym ci uczynił?”* on odpowiedział:

“Panie, abym przejrzał”. – Może się poczujesz jak ten syn marnotrawny, który po wielu popełnionych głupstwach wrócił i nagle znalazł się w ramionach swojego ojca. A teraz wtulony w Jego objęcia mówi: ...Już nigdy nie chcę odejść od Ciebie. Chcę żyć w świetle, w dobru, w pięknie. Chcę żyć w Miłości. Tylko pomóż mi. Pomóż mojej słabości. Tajemnica dialektyki sakramentalnej wyraz – przekaz polega na tym, że ty, który aktualnie stwierdzasz, że nie widzisz Dobra, Prawdy i Piękna, ale tylko siebie samego i swój interes, możesz sięgnąć, możesz prosić. Już stwierdzenie tego, że nie widzisz, dale ci jakąś możliwość powiedzenia: *“Zmiłuj się nade mną. Abym przejrzał”*. Twoje pójście do spowiedzi daje ci możliwość wyrobienia w sobie postawy pokutnej.

(cdn.)

ks. Mieczysław Maliński



Ź nas na Wołyniu

TY JESTEŚ PIOTR

Koncert w Równem
poświęcony
śp. Ojcu Świętemu
Janowi Pawłowi II

W sobotę, 18 czerwca 2005 roku, w kościele pw. Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Równem odbyła się uroczysty koncert zorganizowana przez Towarzystwo Kultury Polskiej Równiejszczyzny im. Władysława Reymonta, poświęcony śp. Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II. Hasłem koncertu były słowa z Pisma Świętego *"Ty jesteś Piotr"* (Mt 16, 18). Goście, którzy przybyli do Równego z Beresteczka, Zdołbunowa, Łucka i Ostroga, mieli możliwość oglądnięcia wystawy *"Jan Paweł II powrócił do domu Ojca"*, na której były przedstawione fotografie śp. Papieża Jana Pawła II i jego znane wypowiedzi, takie jak: *"Wymagajcie od siebie, nawet wtedy, jeżeli od was nikt nie będzie wymagał"*, *"Nie lekajcie się"* oraz wystawkę publikacji w gazetach i czasopismach poświęconych Janowi Pawłowi II z różnych wydań w języku ukraińskim, polskim i rosyjskim.

Przed świętem, korzystając z okazji, ks. Witold Józef Kowalów – redaktor naczelny czasopisma religijno-społecznego diecezji łuckiej *"Wołanie z Woły-*

nia" – przypomniał zebranych, że 17 czerwca 2005 roku minęła 95. rocznica urodzin Apostoła Wołynia o. Serafina Kaszuby (1910-1977), którego proces beatyfikacyjny trwa w Rzymie. Ks. W.J. Kowalów przygotował niespodziankę dla obecnych przedstawicieli mniejszości polskiej na Ukrainie: darmową prenumeratę dla pierwszych dziesięciu osób, które pragną otrzymywać czasopismo *"Wołanie z Wołynia"*.

Uroczysty koncert rozpoczął się ze słów przywitania, które wygłosiła p. Janina Dołgich, przewodnicząca Towarzystwa Kultury Polskiej Równiejszczyzny (dalej: TKPR) i zaprosił do występu chór parafialny kościoła pw. Św. Apostołów Piotra i Pawła w Równem *"Sursum corda"*. Pod dyrekcją p. Ireny Zalewskiej zostały wykonane pieśni w języku polskim *"O pokój"* i *"Kocham Ciebie, Polsko"*.

Kompozycją literacko-muzyczną przywitał zebranych dziecięcy zespół *"Dzwoneczki"* z Żytomierza pod kierunkiem p. Jadwigi Poliszczuk. Przed wykonaniem pieśni dzieci w formie wierszowanej przedstawiali fakty biograficzne z życia śp. Jana Pawła II. Zabrzmiały utwory: *"Barka"*, *"Do Marii"*, *"Nie rzucim, Chryste, świętyń Twych"*.

P. Janina Dołgich przedstawiła p. Tetjanę Fominę, która 81. lat temu urodziła się w Sarnach i jest kombatantem Wojska Polskiego. P. Tetjanę Fominę przywitał p. Andrzej Drozd, konsul RP w Łucku, oraz wręczył dyplom i bukiet biało-czerwonych kwiatów.

Bardzo wzruszającymi słowami zwróciła się do gości p. Tetjana Fomina. Powiedziała, że do dziś pamięta wojnę. Życzyła obecnym: *"Niech Pan Bóg da wam, byście nie wiedzieli czym jest wo-*

jna... Chodźcie do kościoła i żyjcie w pokoju”.

P. Janina Dołgich podziękowała konsulowi Andrzejowi Drozdowi za przyjęcie zaproszenia i przybycie na koncert. Przywitała go bukietem kwiatów i przekazała przywitanie pod adresem Konsula Generalnego RP w Łucku p. dra Wojciecha Gałązki.

Pan konsul Andrzej Drozd podziękował za zaproszenie i życzenia i zaznaczył, że wielką zasługą śp. Papieża Jana Pawła II jest to, że umiał on przemówić zarówno do każdego serca, jak i do całych narodów. Zauważył także, że takie święto ma trzy pozytywne elementy: integruje obecnych; rozbudowuje kulturę polską; sprzyja popularyzacji języka polskiego i tradycji.

W dalszej części uroczystego koncertu usłyszeliśmy wspaniały śpiew chóru parafii pw. Św. Apostołów Piotra i Pawła „Serafin”. Pod dyrekcją p. Natalii Pawluczek został wykonany utwór „Święty Boże”, a pod dyrekcją p. Magdy Liszczyńskiej zabrzmiał utwór „Zdrowaś Maryjo”.

Dziesięć zespół „Jaskóleccki” z Beresteczka pod kierunkiem p. Haliny Sokalskiej zaśpiewał pieśni: „Śpiewam, o Boże”, „Zasłońcie góry morskie słońcem”.

Do obecnych zwrócił się także proboszcz parafii pw. św. Apostołów Piotra i Pawła w Równem ks. dziekan Władysław Czajka. Podziękował on TKPR za przeprowadzenie koncertu, p. Andrzejowi Drozdowi i wszystkim obecny za przybycie i udział w święcie. Pierwsza część uroczystości zakończyła się modlitwą o beatyfikację śp. Ojca Świętego Jana Pawła II, której przewodniczył ks. Władysław Czajka.

P. Janina Dołgich podziękowała proboszczowi ks. Władysławowi Czajce za ideę nazwania koncertu i s. Julii Potas

SOB za wykonanie dekoracji i zaprosiła do udziału w 2 części święta, która odbyła się na placu obok kościoła.

“Świecki” program uroczystości rozpoczął jej gospodarze. Zespół wokalny TKPR wykonał pieśni w akompaniamencie instrumentów ludowych. Ucieszył widzów występ zespołu tanecznego z Żytomierza “Karoliski” pod kierownictwem p. Ireny Sokalskiej, który wykonał “Polonez”.

Zespół “Wołyńskie panianki” Towarzystwa Kultury Polskiej im. Tadeusza Kościuszki w Łucku wykonał pieśni “Słuchajcie ludzie tej opowieści”, “Przybyli ulani pod okienko”, “Hej tam pod lasem”.

Na zakończenie święta wystąpił zespół taneczny “Karoliski” z Żytomierza, który wykonał kompozycje “Kujawiak z oberkiem” i “Żywiecki górą”.

Nie można nie zauważyć, że tańce były wykonywane pod akompaniament obfitego deszczu, co jest symbolem łaski Bożej. Ta Boża łaska za wstawieniem śp. Papieża Jana Pawła II jest bez wątpienia nad całym Wołyniem, nad całą Ukrainą. Wierzymy, że modlitwa, zaniesiona do Pana podczas koncertu i wszystkie utwory wykonane w cześć pamięci śp. Pontyfika, przyczynią się do jak najszybszego wyniesienia na ołtarze Tego, którego jeszcze za życia uznano za świętego. A my, pielgrzymi na ziemi, żyjemy nadzieją na Jego wstawienie w niebie przed naszym Ojcem Niebieskim.

Irena Moroz



Dziedzictwo

PRZESZŁOŚĆ RÓWNEGO

Na równinie, otoczonej ze wszystkich stron górami, leżało siolo, noszące nazwę Rówieńska. Podczas, gdy istniały już, jako miasta, Łuck, starożytny Łuczesk, książęcy Włodzimierz, stolica księstwa, warowne Krzemieniec i Dubno, Rówieńsk ówczesny był długo jeszcze tylko wioską, która przy końcu XIV wieku znajdowała się w posiadaniu ziemianina łuckiego Iwaszki Wasylewicz Dyczki.

Pierwsza wzmianka w dokumentach o Równem pochodzi z r. 1461, kiedy to Iwaszko Dyczko sprzedaje swoje *“dwór i seło w łuckim powiecie na imia Rownoje”* za kwotę trzystu kop szerokich groszy czeskich księciu Semenowi Nieświckiemu. Akt sprzedaży zawarty został w Łucku w dniu 23 grudnia 1461 r.

W r. 1481 Równem włada żona księcia Semena księżna Maria Nieświcka, mądra i rządna gospodyni, która przyczynia się do rozkwitu dotychczasowego siola. Buduje ona zamek w Równem i po jego ukończeniu przenosi tu siedzibę książęcą z sąsiedniego Gródka, przyjmując tytuł księżnej Rówieńskiej. Dzięki jej zabiegom król Kazimierz Jagiellończyk nadaje Równemu, kreowanemu na miasto, prawa magdeburskie, następnie zaś król Aleksander darzy Równem przywilejem na jarmark roczny w dniu św. Szymona Letoprowodcy. W okresie między rokiem

1481 i 1518 miasto pod rządami księżnej Nieświckiej zaczyna rozkwitać, trapią je tylko pretensje okolicznych ziemian, szarpiących bogatą dziedziczkę i procesujących się z nią.

Przez wyjście zamaż wnuczki księżnej Marii księżniczki Anny-Tatiany Holszańskiej za księcia Iwanowicza Ostrogskiego, słynnego wojownika i hetmana litewskiego, Równem staje się własnością domu Ostrogskich, zaczynającego przodować na Wołyniu wśród rodów magnackich. Miasto otrzymuje wtedy nowe przywileje i zwolnienie od myt i ceł, nadane przez króla Zygmunta I. Przywilej na targ tygodniowy w Równem potwierdza król Zygmunt August w Brześciu w dniu 25 kwietnia 1544 r.

W wyniku działu pomiędzy synami Konstantyna Ostrogskiego Równem w r. 1531 dostaje się księciu Eliazzowi czyli Ilii, staroście braclawskiemu i winnickiemu, mężowi Beaty z Kościeleckich, córki naturalnej króla Zygmunta I z Katarzyny Telniczanki, i ojcu nieszczęśliwej Halszki z Ostroga. Na skutek śmierci księcia Ilii w kilka miesięcy po ślubie miastem, które dostało się jej zgodnie z testamentem męża, włada Beata Ostrogska. Z tego tytułu toczą się przewlekłe spory pomiędzy Beatą i bratem jej męża księciem Wasylem Ostrogskim, zakończone dekretem królewskim, przyznającym Równem ze wszystkimi przynależnościami Beacie i jej córce Halszce.

W r. 1545 komisarze królewscy, dokonywujący lustracji obronnych zamków wołyńskich piszą, iż zamek rówieński “trzymają” jakiś kniaź Kurcewicz. Komisarzom tym skarżą się mieszczanie łucy i krzemienieccy, że w Równem pobierane są od nich niesłuszne myta. W r. 1548 Beata funduje kościół

katolicki w Równem i otrzymuje aprobatę wszystkich dawnych przywilejów na jarmarki dla miasta, zajmując się czynnie jego podniesieniem.

Po śmierci Beaty w r. 1569 miasto przeżyło szereg zajazdów i napaści, dokonywanych przez Łukasza z Górki, który walczył w ten sposób z drugim mężem Beaty Albrechtem Łaskim. W tym samym roku na Równe napadli Tatarzy i miasto zostało złupione doszczętnie, mieszkańcy rozproszyli się, kościół niedawno założony ograbiono i jego archiwa zniszczono. W r. 1574 dekret króla Henryka Walezjusza oddaje Równe księciu Wasylowi Ostrogskiemu wraz z bratanką Halszką Łukaszową z Górki, lecz dekret ten pozostał jedynie na papierze. W Równem rządzi dalej Albrecht Łaski, na którego skarży się ziemianin Semen Chrebtowicz Bohuryński: *“pan wojewoda Sieradzki, nie wiedząc za czym daniem sprawy, a mieszkając sam w cudzych ziemiach, nie tu – w państwach I. K. Hospodara naszego, nasłał nowo niedawno na urząd rówieński niejakiego Krzysztofa Fiwka i Niemców. Włochów. i innego obcego narodu ludzi cudzoziem-*



ców, obyczajów i języka tutejszego nieznających, którzy odgróźki ciągle czynią i na sąsiady napadają”.

Nadal Równe w ciągu dłuższego okresu czasu jest we władaniu rodu Ostrogskich. W okresie pomiędzy r. 1614 i 1618 księżna Anna Ostrogska, wdowa po Aleksandrze Ostrogskim, usiłuje podnieść Równe z ruiny – i odnosi to pewne skutki: miasto jest odbudowane po pożarach, ludność wraca i pomnaża się, zaczyna kwitnąć handel. Ale już w r. 1617 wpadają tu Tatarzy poraz pierwszy, a w dwa lata później ponownie, zamek zostaje spalony, całe miasto splądrowane i zniszczone.

W r. 1621 Równe z przyległościami dostaje się księżniczce Katarzynie z Ostrogskich Zamoyskiej. W r. 1624 nawiedza je ogromny pożar. Opiekę nad miastem roztacza teraz mąż jego właścicielki wojewoda kijowski, a potem kanclerz koronny, Tomasz Zamoyski, troszcząc się o polepszenie bytu mieszkańców. Funduje on szpital w Równem, uzyskuje od króla Zygmunta przywilej na jarmark. Lecz biedne, niefortunne miasto przeżywa znowu szereg nieszczęść i plag. W lipcu 1640 r. pustoszy Równe i okoliczne wioski Kołodenkę, Nowy Dwór i Aleksandrię horda tatarska, w marcu 1650 r. nowa horda obraca je w perzynę.

Za każdym razem jednak Równe odradza się z popiołów, staje się znów ludne i ożywione. Miasto, rządzone na prawie magdeburskim, posiada swych burmistrzów i rajców, pieczęć z herbem Leliwa i napisem *“Sigillum Civitatis Rovnensis”*. W r. 1642 landwójtem rówieńskim jest Jan Kociel, burmistrzami Jan Złotnicki i Adam Woleński.

I znowu Równe zmienia właścicieli, dostając się Koniecpolskim, jako posag Joanny Barbary Zamoyskiej. W marcu

1660 r. w bramy miasta wjeżdża na czele hufców Stefan Czarniecki. W kilka lat potem tak zwane morowe powietrze dziesiątkuje ludność Równego, sieje postwach i wyludnia nieszczęśliwe miasto, które u schyłku XVII wieku jest zupełnie zrujnowane, podobnie jak cały Wołyń ówczesny: złożyły się na to wojny kozackie, najazdy tatarskie, swawole niekaranego wojska, tak częste wówczas epidemie i pożary. Manifesty Równego do grodu w Łucku obrazują jego straszliwy stan i zubożenie takie, iż w 1680 r. miasto z okolicami płaci tylko 500 zł. rocznie szelążnego. Przeciągające przez miasto wojska łupią je doszczętnie, pożogi pochłaniają całe dzielnice miasta. Domy w mieście w przeważającej liczbie stoją pustkami. Jedyne zamek utrzymywał się jako-tako, chociaż zatracił już wtedy swój pierwotny charakter obronny.

W początkach XVIII wieku Równe jest zniszczone ostatecznie. Nie ma już w mieście nic, co by można było grabić. Wchodzący do Równego w czerwcu 1706 r. Szwedzi zastają miasto puste, bo nieliczni mieszkańcy ukrywają się w lasach. W kilka tygodni potem ze wściekłością odchodzą stąd pułki moskiewskie, które nic do złupienia nie mogły znaleźć. Nic, bo cokolwiek pozostało po obcych wojskach, padło łupem własnych t. zw. gubernatorów rówieńskich z ramienia Koniecpolskich rządzących miastem z niezwykłą chciwością.

Lepsza era zaczyna się dla Równego z momentem nabycia miasta w r. 1723 przez ks. Jerzego Lubomirskiego, wojewodę sandomierskiego. Spalony w r. 1654 zamek zostaje przez nowego dziedzica odbudowany ze zniesieniem strzelnic i wszelkich akcesorii warowni. Przebudowy zamku dokonywuje syn ks. Jerzego – ks. Stanisław Lubomirski.

Ks. Stanisław zabiera się energicznie do polepszenia bytu miasta, dbając o rozwój w nim handlu i rzemiosł. Przez księcia nadane zostają specjalne prawa rówieńskiemu kahałowi żydowskiemu, jak również ustawa dla cechów krawieckiego kuśnierskiego. Ówczesny dwór Lubomirskich staje się najświetniejszym dworem magnackim na Wołyniu.

Z zachowanego planu ówczesnego miasta widzimy, iż składało się ono z miasta głównego, przedmieścia ostrońskiego w kierunku dzisiejszego Grabnika, przedmieścia dubieńskiego, zwanego Wołą, oraz ekonomii czyli komissariatu. Równe ówczesne, zewsząd wodą otoczone, miało sporo domów, przeważnie małych, rozrzuconych w nieładzie, domy te były drewniane z wyjątkiem jednego oraz murowanych sklepów z ratuszem. Kościół, cerkiew, synagoga – wszystko to było drewniane. Jedyne ulica główna była wyłożona drewnianymi dylami. Na Wołę prowadziła długa grobla, mieszkali tam rolnicy w chatkach wiejskich. Na przedmieściu ostrońskim znajdowały się domki oficjalistów dworskich, ulica Niemiecka – dzisiejsza Piłsudskiego – zamieszkała była przez fabrykantów Niemców – sukienników, zabudowania włościańskie skupiały się przy ulicy Omełańskiej (dzisiejsza ulica Szewczenki).

Równe w r. 1765 posiadało 683 domy. W tej epoce największego blasku zamku rówieńskiego miasto odznacza się wielkim ubóstwem i lichotą, znajdującymi się w rażącej sprzeczności ze świetnym wyglądem dworu Lubomirskich.

Syn księcia podstolego ks. Józef Lubomirski więcej zrobił dla miasta, niż jego ojciec. Przy nim zakończona została ostateczna przebudowa rezydencji Lubomirskich z zamku na pałac, lecz nie zapomniano również o mieście, które za-

cząło się rozwijać. W jesieni r. 1792 gości w Równem Tadeusz Kościuszko, który, przybывая tu, pragnął niewątpliwie ujrzeć przedmiot swojej młodzieńczej, miłości i uwielbienia – księżnę Ludwikę z Sosnowskich Lubomirską.

A potem – wciąż dalsze niepowodzenia i klęski dla Równego. Więć pożary, na skutek jednego z których spłonęła całkowicie ulica Senatorska, napady i szarańcza, która niszczyła pola mieszkańców i lasy grabowy, nieszczęścia polityczne. W trzeciej dekadzie ubiegłego stulecia rozbudowuje Równem zamiłowany w tym zajęciu ks. Fryderyk Lubomirski. Przy nim inny wygląd przybierają ulice Równego, zamiast poprzednich ruder co raz więcej tu schludnych domków. Staraniem księcia do Równego przeniesione zostaje z Klewania gimnazjum, dla którego książe buduje specjalny gmach, zaś wspianą oranżerię oddaje na mieszkania dla nauczycieli tego gimnazjum.

Przy ks. Fryderyku właśnie rodowa rezydencja Lubomirskich zostaje przeniesiona do pałacyku "Na Górcie". Zamek pustoszeje coraz więcej.

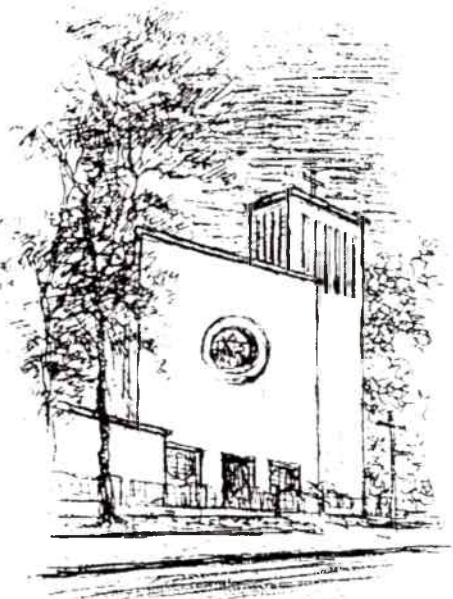
Druga połowa ubiegłego stulecia jest okresem bardzo szybkiego wzrostu Równego pod względem handlowym i zwiększenia liczby jego ludności. W r. 1857 przez miasto przechodzi szosa z Brześcia do Kijowa, w dwadzieścia lat później miasto staje się węzłowym punktem linii kolejowej. Dzięki temu już przed wielką wojną Równem jest ośrodkiem handlowym całego Wołynia i najruchliwszym miastem wołyńskim. Nie wpływa to jednakże na jego wygląd, jest zawsze zaniedbane, lichy zabudowane i pozbawione jak najbardziej prymitywnych urządzeń sanitarnych. Bogaci się – ale nie dba o siebie.

Gospodarka polskich władz samorządowych przynosi Równemu stopniowe odrodzenie. W ciągu lat ostatnich mimo okresu dającego się we znaki kryzysu miasto robi znaczne postępy pod każdym względem, przeistaczając się nie do poznania. Bruki i chodniki, wodociągi i kanalizacja, oświetlenie, polepszenie stanu sanitarnego, rozbudowa peryferii – na każdym polu odczuwa się zmianę ku lepszemu.

Stwierdzić to może łatwo każdy, kto znał Równem przedwojenne lub z przed lat 15-10. Miasto ziemianina Iwaszka Dyczki ma wszelkie dane po temu, aby rozkwitnąć w przyszłości.

[*Ilustrowany przewodnik po mieście Równem*]

pod red. Tadeusza Górnickiego, Równem 1937, s. 4-8;
reprint: Lublin 1999]



Ź nas na Wołyniu

“JEST TO
POTRZEBNE
NIE MARTWYM,
TO JEST
POTRZEBNE
ŻYWYM”

Przez wszystkie wieki w Lubieszowie mieszkali ludzie różnych narodowości: Ukraińcy, Żydzi, Polacy, Białorusini, Rosjanie i przedstawiciele innych narodowości. Wszyscy oni pracowali na swoich polach, zajmowali się swoim rzemiosłem, we święta, w sobotę lub niedzielę szli do swoich świątyń, aby oddać cześć i podziękować Bogu.

Ale przyszły w historii takie czasy, tacy ludzie, którym nie spodobał się pokój, przyjaźń i spokój między rodzinami. Przynieśli oni na ziemię rozbrat między ludźmi. I do dziś jest to niezrozumiałe, i do dziś nieznane są przyczyny, dla kogo było to wygodne. Ale my wiemy, że rozpoczęło się bratobójstwo i rzezie. I pozostały tylko groby, groby, groby... Znane i nieznane.

Pozostały także wspomnienia starszych ludzi. Niestety ludzi starszego pokolenia jest coraz mniej. I za niedługi czas nie będzie miał kto opowiadać o tych bezimiennych grobach. Dlatego w Lubieszowie rozpoczęły się dopiero pierwsze kroki w dziele przywrócenia imion nieznanym grobom.

Dnia 12 czerwca 2005 roku została odprawiona uroczysta Msza św. i poświęcone tablice na których uwieczniono pamięć niektórych imion osób, który były ofiarami wojny.

W tych uroczystościach wzięli udział: wicekonsul z konsulatu RP w Łucku p. Jacoń z żoną Olgą, goście z Polski oraz miejscowi prawosławni.

Wielką pomoc uczyniła rodzina Tarkowskich – ich tatuś i dziadek pracowali do wojny w Lubieszowie jako aptekarze, pomagali ludziom. Odwiedzić ich groby przyjechały z Polski córki i wnuczka p. Tarkowskiego.

Mszy św. i poświęceniu tablic przewodniczył ks. Andrzej Kwiczala. Została także odprawiona Msza św. na cmentarzu koło bratniej mogiły Polaków poległych w latach 1941-1945. Odbyło się złożenie wieńców i kwiatów oraz wystąpił p. Jacoń, który podziękował wszystkim obecnym za oddanie czci dla zmarłych.

I stojąc nad grobami zmarłych zamysłamy się: za co i dlaczego tych niewinnych ludzi spotkała śmierć. Wszakże ziemia jest jedna, słońce jedno i Bóg jest jeden.

Wiktor Chomicz
Z polskiego przełożyła
Łucja Zalewska



Napisali do nas

JESZCZE O KOŚCIELE I KLASZTORZE OJCÓW KAPUCYNÓW W LUBIESZOWIE

W numerze 2(63) z marca-kwietnia 2005 roku Wiktor Chomycz opisuje odпуст w kościele lubieszowskim w dniu 14.02.2005 r. Przy tej okazji podaje zwięzły rys historyczny tej świątyni i przylegającego do niej klasztoru OO. Kapucynów. Dowiadujemy się, że dzięki fundacji kasztelana braćlawskiego Jana Antoniego Czarnieckiego (raczej Czarnieckiego) i jego żony Felicjany Czosnowskiej rozpoczęto budowę tego obiektu w roku 1756, a ukończono w roku 1786. Klasztor spalił się w pożarze roku 1817; odremontowany został dopiero w roku 1926. *“Od 1936 roku tutaj mieściło się seminarium dla zakonników-misjonarzy obrządku wschodniego... Oprócz tego istniał tutaj przytułek dla dzieci sierot pod kierunkiem s. przełożonej Jadwigi Gano... Jesienią 1942 roku hitlerowcy przemienili klasztor na wojskową fortecę. Niedługo później hitlerowscy slugusi spośród Ukraińców w bestialski sposób zamordowali o. Kasjana Józefa Czechowicza, brata Sylwestra Stefana Hładzio, s. Jad-*

wigę Alojzę Gano...” Świątynię otwarto na nowo dopiero w roku 1992.

Konieczność zastosowania skrótovej informacji nie powinna stać w sprzeczności z jej prawdziwością, przy czym informacja nie powinna być tendencyjna. Pomijając fakt, że czytelnik nie wie czy w wieku XVIII i na początku XIX kapucyjni w Lubieszowie byli rzymokatolikami czy grekokatolikami, to w dodatku skazany jest na domysły co się z nimi stało po pożarze w roku 1817.

Mało istotny jest błąd w dacie rozpoczęcia remontu kościoła i klasztoru: nie był to rok 1926 lecz najwcześniej 1930, albo i 1931. Remont prowadził proboszcz parafii ks. Ignacy Wierobiej, który dopiero w tym czasie i głównie w tym celu przybył do Lubieszowa. Prawie jednocześnie zajął się remontem obiektu OO. Kapucynów i OO. Pijarów, by je zakończyć około roku 1934. Dopiero wówczas zakonnicy przybyli do swych klasztorów, przy czym kościół kapucynów stał się kościołem grekokatolickim (raczej kapucynów obrządku wschodniego – jednym z nich był m.in. o. Jan Paweł Mucharski, który przeszło po 50. latach wrócił do Lubieszowa – przyp. “WzW”).

Autor wcale nie podaje niezwykle ważnej informacji, że we wrześniu 1939 roku sowieci wyrzucili zakonników z ich klasztorów i zajęli całe ich mienie. Kościół Kapucynów zamieniono na magazyn zbożowy, zaś do klasztoru wprowadziły się urzędy (sąd, milicja, urząd skarbowy) a w refektarzu urządzono salę kinową i klub. Pijarom pozostawiono kościół, lecz z kwartału na kwartał nakładano coraz wyższe podatki.

Przejawem tendencyjności jest użycie określenia *“hitlerowscy slugusi spośród*

Ukraińców”, Morderstw dokonali nie oni, lecz tzw. UPA, przy czym księdza Józefa Czechowicza zamordowała latem 1943 roku gdzieś poza Lubieszowem (był to młody energiczny pogodny kapłan, który objeżdżał z kapłańską posługą teren w promieniu 20-30 kilometrów), zaś siostra Gano została spalona wraz z około dwustu Polakami przez tę samą tzw. UPA dnia 9. XI. 1943 r. w domu Piaszkowskiego i Butmana w Lubieszowie. Brat Sylwester zamordowany został tego samego dnia w klasztorze kapucynów. Część owych zbrodniarzy z tzw. UPA była rzeczywiście hitlerowskimi sługusami Schutzmannami, ale wcześniej: do połowy marca 1943 r., kiedy to prawdopodobnie za zgodą Niemców odeszli z Lubieszowa i zasilili tworzoną tzw. UPA. Nie jestem wszakże pewny czy Autor artykułu jest przekonany, że Niemcy i upowcy do końca tworzyli zgodną zbrodniczą spółkę. Tylko w takim przypadku można stosować określenie *“sługusi...”* Bardziej prawdopodobne jest to, że Autor świadomie, czy nieświadomie pragnie, aby tzw. UPA pozostała *“nieskazitelna”*.

Z wyrazami szacunku

Zbigniew Małszycki

Gdynia, 21 maja 2005 roku



Ź nas na Wołyniu



KRZYŻ NA “POLSKIM CMENTARZU” W EMILCZYNIE

Duch Boży wieje jak chce i kędy chce. Nie wiem ile osób przeczytało mój jeścienny artykuł *“Polskie groby na Ukrainie”* drukowany w *“Posłańcu Warmińskim”*, ale na pewno przeczytały go dwie osoby: Tomasz Adrian, olsztyński przedsiębiorca działający na Ukrainie w sławnym dla Polaków Korcu (Firma *“Inwestycja”*, po ukraińsku *“Inwest”*) i pan Włodzimierz, który przesłał do redakcji pewną kwotę, która została przeznaczona na ofiarę na Mszę żałobną odprawioną za zmarłych Polaków w Emilczynie 5 maja 2005 roku.

Tomasz Adrian postanowił sfinansować postawienie dużego, dębowego krzyża na polskim cmentarzu w Emilczynie. Przygotowania do tego postawienia krzyża trwały pół roku. Uroczystość odbyła się 5 maja 2005 roku. Do krzyża zostanie jeszcze załączona tabliczka z objaśnieniem okoliczności jego powstania.

W kościele pw. św. Macieja w Emilczynie sprawowano Mszę żałobną za zmarłych Polaków. Niestety, nie był na niej obecny konsul RP ani wicekonsul, gdyż brali udział w obchodach "Dnia Zwycięstwa" w Łucku. (...) Na Mszę św. przyjechał miejscowy ksiądz, także ks. Stefan z Łodzi, który razem z miejscowym proboszczem koncelebrował Mszę św. i wygłosił patriotyczne kazanie.

Ważnym dla Polaków była też obecność na Mszy św. i na cmentarzu mera Emilczyzna Leonida Iwanowa. Po Mszy św. samochodami i pieszo wierni udali się na polski cmentarz. Nastąpiło poświęcenie krzyża. Zabierając głos, mówiłem, że Polacy i Ukraińcy w Emilczynie żyją razem, i ten krzyż jest znakiem, że chcą żyć razem, że chcą żyć w zgodzie. Mer Leonid Iwanow dziękując za pamięć o cmentarzu w Emilczynie powiedział, że jest to lekcja dla ludzi młodych, których trzeba wychowywać w miłości prawdy i dobra.

Obok nielicznych nagrobków na cmentarzu są trzy krzyże. Szczątki pierwszego leżą nieopodal nowo postawionego. Gdy w czasie stalinowskim zaarrestowano w Emilczynie księdza podczas sprawowania nabożeństwa i wywieziono go na Sybir (ocalił i powrócił) zdołano wynieść pod swetrem konsekwane komunikanty i rozdano je wiernym. Była to ich ostatnia Komunia św. na długie lata nieobecności kapłana.

A krzyż stojący przed kościołem władze nakazały porąbać i spalić. Jednak kierownik kołchozu kazał go tylko przenieść na cmentarz i tam postawić. Gdy po wielu latach krzyż rozpadł się, bezimienni chrześcijanie postawili stojący do dziś krzyż metalowy. Teraz postawiliśmy duży, dębowy. Mamy nadzieję, że kiedyś po nas za kilkadziesiąt lat zrobi to ktoś inny.

Dziękuję Tomaszowi Adrianowi, który sfinansował całe przedsięwzięcie, zaangażowanym księżom oraz paniom z Towarzystwa Polskiego "Odrodzenie": Marii Jacenko, prezes towarzystwa i Walentynie Dmitrienko, kierownikowi zespołu tanecznego.

Antoni Soduła

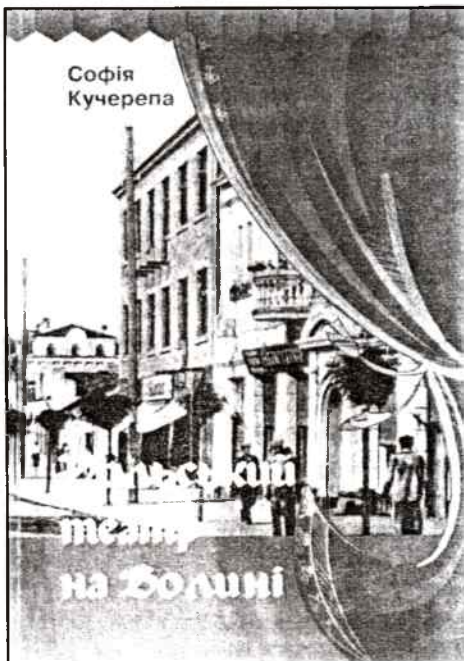
Od redakcji: Serdecznie dziękujemy Autorowi za przesłanie powyższego artykułu, który wcześniej przeczytaliśmy w "Pośłańcu Warmińskim" (nb. otrzymujemy go w ramach wymiany). Przykład działalności p. Antoniego Soduły i p. Tomasza Adriana zasługuje na upowszechnienie i naśladowanie. Na Wołyniu wciąż wiele cmentarzy czeka na podobne upamiętnienie.



Wśród książek

DZIEJE WIELKOŚCI POLSKIEGO TEATRU NA WOŁYNIU

Sofija Kuczerepa zaprasza nas do poznania łuckiego Teatru Miejskiego im. Juliusza Słowackiego i objazdowego Teatru Wołyńskiego, które ukazywały widzom świat sztuki teatralnej w latach 20. i 30. XX wieku. We wstępie autorka, ujawnia nam tajemnicę ukazania się pracy pisząc: *“Do napisania tej książki natchnęła mnie miłość do teatru, zainteresowanie jego historią... i jeszcze pragnienie odnowienia sprawiedliwego obrazu działalności teatru w naszym mieście”*. Wszakże rzeczywiście czas niepodległości dał możliwość zobaczenia prawdziwych kart historii naszego kraju. Ale na fali ogólnej euforii często się zdarza, że my szukając sensacji, badamy najważniejsze wydarzenia polityczne, niezwykle osobistości, które kardynalnie zmieniały otaczającą ich rzeczywistość. W ten sposób przy tym wszystkim nie zauważamy wydarzeń, osób, które po prostu żyły, rozbudowywały kraj, sprzyjały jego rozwojowi ekonomicznemu i kulturalnemu, tzn. stabilnemu i zwyczaj-



jnemu (w pełnym rozumieniu tego słowa) życiu.

Okres międzywojenny na Wołyniu jest czasem, które niejednoznacznie jest oceniany przez różnych uczonych. Dlatego jeszcze większą uwagę należy przykładąć do badań nad życiem kulturalnym, jakie było podstawą wychowania estetycznego i moralnego ówczesnej młodzieży. Za zasługę Sofiji Kuczerepy można uważać ten fakt, że badaczka próbowała zaprzeczyć istniejącej tradycji o pierwszym teatrze w Łucku, przywołując realne przykłady dwóch teatrów, które powstały wcześniej od włączenia tego regionu w skład Ukrainy radzieckiej w 1939 roku. Swoją wykład podała ona w kontekście ówczesnego życia kulturalnego, a w szczególności życia teatralnego Wołynia. Właśnie tym problemom poświęcony jest pierwszy rozdział pracy – “Teatr w II

Rzeczypospolitej”. Ciekawymi są umieszczone w tekście ilustracje ze zbiorów Archiwum Państwowego Obwodu Wołyńskiego i Wołyńskiego Muzeum Krajoznawczego. Są to fotografie zespołów aktorskich, różnorodnych scen z poszczególnych sztuk oraz afisz teatralny. Opisu-
 jąc aktorski skład teatrów, ich repertuar, źródła finansowania i inne aspekty funkcjonowania teatru miejskiego i teatru objazdowego, autorka ukazała problemy, które musiały podobać zespoły teatralne. Przede wszystkim to były trudności finansowe, które np. spowodowały likwidację teatru miejskiego w 1926 roku. Podsumowując swoją pracę Sofija Kuczerepa nie zapomniała przypomnieć sylwetki utalentowanych dyrektorów wołyńskiego teatru objazdowego (nb. teatr ten został nazwany przez nią symbolem kultury Wołynia) – dzięki nim teatr rozwijał się, podciągał swoją profesjonalność i pracował bez deficytu.

Zachęcam wszystkich nieobojętnych – czy interesuje Was teatr czy historia czy dawna sława Wołynia – zapoznajcie się z pracą Sofiji Kuczerepy *“Polski teatr na Wołyniu”*, wydanej dzięki poparciu Konsulatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Łucku. I nie będziecie żałować, że zagłębicie się w świat sztuki, w świat teatru i jego dawnej wspaniałości.

Inna Szostak

*Z ukraińskiego przełożyła
 Łucja Zalewska*

Кучерера С.М. *“Польський театр на Волині”*. – Луцьк: ВМА “Терен”, 2005. – 116 с.; іл.

Krajoznawstwo

“BERDYCZÓW STAROŻYTNY I WIECZNIE MŁODY”

Mikrohistoria – historia regionalna – jest kierunkiem perspektywicznym badań naukowych. I do dzisiaj jest jeszcze znaczna ilość mało zbadanych faktów z przeszłości czy aby nie każdej miejscowości na Ukrainie. Nie jest wyjątkiem Berdyczów – miasteczko na Żytomierszczyźnie z bogatą historią, która sięga pośniedziałej przeszłości. Przeszłości i współczesności tego miasta poświęcona była Ogólnoukraińska konferencja naukowo-krajoznawcza *“Berdyczów starożytny i wiecznie młody”*, poświęcona 575. rocznicy pierwszej wzmianki historycznej o Berdyczowie w dokumentach historycznych i 160. rocznicy nabycia przez Berdyczów statusu miasta, jaka miała miejsce w dniach 8-10 czerwca 2005 roku. Jednym z organizatorów tego forum było Żytomierskie Naukowo-Krajoznawcze Towarzystwo Badaczy Wołynia na czele z M.Ju. Kostrycją i jego regionalny oddział, któremu przewodzi P.S. Skawroński.

W konferencji wzięło udział 163 uczestników, którzy interesowali się problemami krajoznawstwa Wołynia. Zaproszeni byli nie tylko uznani naukowcy, akademicy uczelni wyższych Ukrainy, współpracownicy naukowci Centralnego

Państwowego Archiwum Historycznego Ukrainy w Kijowie, uczeni ze stopniami i tytułami naukowymi, ale i studenci oraz aspiranci (doktoranci) z różnych ukraińskich wyższych uczelni, nauczyciele i uczniowie szkół średnich i gimnazjów mia-sta Berdyczowa. Uczestnikami konferencji byli przedstawiciele różnych regionów Ukrainy, a także Rosji i Białorusi. W jej pracach wzięli udział także ostrożanie: ks. Witold Józef Kowalów (mgr teologii, proboszcz parafii rzymskokatolickiej pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu), Mykoła Mańko (zastępca ds. prac naukowych dyrektora Państwowego Rezerwatu Historyczno-Kulturalnego m. Ostroga), Swietłana Pozichowska (kierująca Muzeum Książki i Drukarstwa w Ostrogu), Inna Szostak (kandydat nauk historycznych, wykładowca Uniwersytetu Narodowego "Akademia Ostrogska"), Rafajil Szpizel (kandydat nauk medycznych, lekarz ostrogskiego Centralnego Szpitala Rejonowego) i Oksana Jakymczuk (aspirantka-doktorantka Uniwersytetu Narodowego "Akademia Ostrogska").

Na konferencji zostały wygłoszone referaty, które przedstawiały nie tylko problemy genezy Berdyczowa, ale i w ogóle Żytomierszczyzny i Wołynia. Krajoznawcy zainteresowali się problemami o różnorodnej tematyce, które chronologicznie objęły okres od istnienia kultury czerniachowskiej do czasów współczesnych.

Na posiedzeniu plenarnym zostały wysłuchane wystąpienia docenta M.Ju. Kostryci, prof. I.S. Wynokura, starszego współpracownika naukowego H.W. Putowej, docenta O.I. Żurka, krajoznawcy Je.R. Tymyrjajewa i innych naukowców. Ziemię Ostrogską reprezentowała kieru-

jąca Muzeum Książki i Drukarstwa Swietłana Pozichowska, wystąpienie której było poświęcone wydawnictwom berdyczowskim, które znajdują się w zbiorach Muzeum Książki i Drukarstwa w Ostrogu.

Praca w sekcjach została zorganizowana wg poszczególnych kierunków badań naukowych: historia i źródłoznawstwo, archeologia i historia kraju, problemy socjalno-ekonomiczne i ekologiczno-demograficzne, kultura i oświata oraz wybitne postacie Ziemi Berdyczowskiej.

Ogólne zainteresowanie uczestników i gości konferencji wywołały wystąpienia przodującego specjalisty Archiwum Państwowego Obwodu Żytomierskiego R.Ju. Kondratiuka nt. poznania historii nekropolii berdyczowskiej; ostrogskich krajoznawców Rafajila Szpizela i Mykoły Mańka, którzy opowiedzieli o berdyczowskim wydaniu z 1907 roku książki ostrogskiego żydowskiego krajoznawcy Menachema Mendela Bibera; wykładowcy I.M. Możariwskiej nt. żydowskiej oświaty w okręgu berdyczowskim w l. 20 i 30. XX wieku. Miejsce Żytomierszczyzny w systemie międzynarodowych korytarzy transportowych Ukrainy scharakteryzowała aspirantka-doktorantka I.W. Szum. Materiały poglądowe w postaci map i tablic zademonstrował W.A. Baranowskyj opowiadając o projekcie Atlasu Ekologicznego Żytomierszczyzny. Posiadłości ziemskie rodziny Hołubów na Żytomierszczyźnie pod koniec XVI wieku i w pierwszej połowie XVII wieku zbadał student O.A. Alfiorow. Żwąwą dyskusję wywołało wystąpienie krajoznawcy A.P. Horobczuka pt. *"Adolf Hitler w Berdyczowie? Zupelnie wiarygodne"*, która zaostrzała się dlatego, że autor takie przypuszczenie uczynił na podstawie tylko memuarystyki.

Podsumowując należy zaznaczyć, że badania wszystkich uczestników konferencji mieściły w sobie ciekawe fakty i gruntowane wnioski nt. mało znanych kart z dziejów Ziemi Berdyczowskiej i Wołynia w ogóle. Do obiegu naukowego została wprowadzona znaczna ilość nie opublikowanych materiałów archiwalnych, ustalono wiele danych faktycznych, przyczyn i skutków tych czy innych wydarzeń i zjawisk w życiu regionu. Wystąpienia uczestników konferencji weszły do zbioru jej materiałów, który składa się z dwóch tomów, co zostało spowodowane znaczną ilością artykułów naukowych.

Plan pracy konferencji przewidywał nie tylko pracę naukową, ale i przeprowadzenie wycieczek dla jej uczestników. Odwiedzili oni jedną ze szkół Berdyczowa, szkołę artystyczną i Muzeum Historyczne miasta, klasztor OO. Karmelitów Bosych oraz Muzeum Honoriusza Balzaka w dawnym majątku Hańskich w wiosce Wierchownia w rejonie różyńskim obwodu żytomierskiego.

I tak dzięki przeprowadzeniu tej konferencji odbyło się jeszcze jedno spotkanie naukowców, dzięki którym mogli się oni wymienić myślami, poglądami i zadumami. Uczyniono jeszcze jeden krok do poznania przeszłości i współczesności Wołynia i dano impuls do dalszych badań krajoznawczych.

Oksana Jakymczuk

*Z ukraińskiego przełożyła
Łucja Zalewska*



Ź nas na Wołyniu

UCZĘ SIĘ JĘZYKA POLSKIEGO

Przy Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Ostrogskiej (dalej: TKPZO) funkcjonuje Szkoła Sobotnia Kultury i Języka Polskiego. Dobiegł do końca rok szkolny i, jak zawsze, robione są podsumowania minionego czasu pracy. Dnia 21 maja 2005 roku w sali towarzystwa został przeprowadzony, jak co roku, konkurs recytatorski wiersza polskiego dla uczniów Szkoły Sobotniej i gości.

Konkursy takie sprzyjają poznaniu języka polskiego, literatury i poezji polskiej. Na konkursach wyznaczani są zwycięzcy, którzy dalej mogli by brać udział w podobnych konkursach na wyższym poziomie, organizatorami których są Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie i Stowarzyszenie "Wspólnota Polska". W poprzednich latach z Ostroga laureatami byli we Lwowie Halina Homiłko i w Dubnie Jana Kobyłańska, którzy otrzymali pewne nagrody.

Język polski w naszej szkole poznają dzieci pochodzenia polskiego i chętni. W kończącym się roku szkolnym dzieci języka polskiego uczył ks. Waldemar Szlachta. W konkursie wzięły udział dzieci, którzy chodzą do tej szkoły oraz dzieci z Asocjacji Artystycznej im. Filis Wudtorp w wieku od 7 do 14 lat. Przed konkursem dzieci oglądały filmy animowane w języku polskim, który jest im

już dobrze rozumiąły. Bardzo ciekawym było to, że młodsze dzieci miały lepszą wymowę i lepiej deklamowały od starszych.

Duet z Asocjacji Artystycznej im. Filis Wudtorp w składzie Oksany Kuźmenko i Tarasa Ukrajinca wykonał na zakończenie pieśń "W drodze pod Sokolem" do słów Krzysztofa Kołtuna z Chełma, rodzina którego pochodziła z Wołynia i przeżyła tragedię 1943 roku, i muzyki Haliny Handzilewskiej, dyrektora asocjacji.

Po konkursie, dzieci zostały ugoszczone słodyczkami, a jury udało się na posiedzenie dla wyznaczenia miejsc i nagród. Po omówieniu konkursu jury doszło do wniosku, że I miejsce zajął Taras Ukrajinec, II miejsce wśród młodszych dzieci – Chrystyna Szejbart, II miejsce wśród starszych – Ołena Karewo, III miejsce wśród młodszych – Władysław Szuryhin, III miejsce wśród starszych zajęła Chrystyna Poliszczuk. Prezes TKPZO podziękował proboszczowi parafii pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu ks. Witoldowi Józefowi Kowalowskiemu za pomoc materialną i organizację konkursu, ks. Waldemarowi Szlachcie za nauczanie dzieci języka polskiego i przygotowanie ich do konkursu. Laureatom konkursu wręczono nagrody, a wszyscy inni uczestnicy konkursu otrzymali podarunki. Jeszcze długo dzieci nie chciały rozchodzić się, śpiewały pieśni, radowały się, oglądały filmy animowane. Życzymy im w lecie dobrze odpocząć. Życzymy szczęśliwego dzieciństwa, a nade wszystko Bożego błogosławieństwa.

Włodzimierz Filarowski

Ze starej kroniki wołyńskiej

KRONIKA PARAFII OSTROGSKIEJ

Rok Pański 1621

Sprawa u Jego M. X. Biskupa o pieniądze niebościka X. Plebana

Pozwany był X. Pleban listem Jego M. X. Biskupa samego, aby wzięwszy pieniądze po niebościku X. Plebanie¹ pozostałe, przyjechał z nimi do Torc[z]yna. Ale iż ich X. Pleban w mocy swej miał, pozwał do urzędu kościelne swe Ostrogskie, aby albo pieniądze X. Plebanowi do ręki oddali, albo sami iachali do Jego M. X. Biskupa i sprawę o nich dali. Ale oni przed urzędem sprawując się powiedzieli, że sami dla pilnych spraw domowych do Jego M. X. Biskupa iachać niemożemy, ani też pieniędzy tych z ręki naszych, przez wolej Panów naszych nikomu dać niemożemy. Ale gdy czas ten roku przydzie, któregochmy na używanie



nasze od Panów naszych za pewną umowioną Elemosiną do kościoła te pieniądze wzięli, obiecujemy te pieniądze do kupy złożyć, y Panowie komu ie każą oddać w ten czas ie oddamy. A czas iakochmy te pieniądze wzięli przypada pro 1 Augustu w tym roku. Zaczym X. Pleban Attestacją urzędową wząwszy sam do Jego M. X. Biskupa iachał, y sprawę o wszystkim dał, czym się Jego M. contentował. Ale PP. mieszczanie nieuczynili obietnicy swoiey dosic, tak iako się były urzędownie obłygowali².

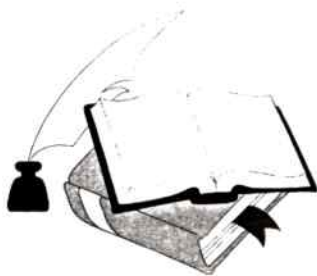
[*"Kronika Kościoła Farnego Ostrogskiego"*

– Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Krakowie, Sekcja I, Archiwum Sanguszków, sygn. 1031, s. 182-183.]

Odczytał
Taras Wychowaneć

¹ Ks. Wojciech Biezanowski, proboszcz parafii Ostrog w latach 1582-1616.

² W tym miejscu kończy się s. 182 Kroniki.



ALEKSANDER OSTROGSKI (1570-1633)

(Zakończenie ze str. 48)

Książę Wasyl Konstanty obawiał się, że pod wpływem małżonki – gorliwej katoliczki i patronki OO. Jezuitów, którzy mieli kolegium w Jarosławiu – Aleksander przejdzie na katolicyzm. Ale obawy ojca były płonne. Aleksander pozostał prawosławnym do końca życia. Żona Anna, która z początku chciała być zakonnica i poszła za mąż tylko z woli jej opiekuna – wojewody pomorskiego Krzysztofa Kostki – we wszystkim była posłuszną i pokorną wobec swego męża, nawet chodziła do cerkwi prawosławnej, do której chodził książę Aleksander. Zresztą on więcej przebywał na Wołyniu, niż w swojej głównej rezydencji – w Jarosławiu. Zaś w Jarosławiu panowała przede wszystkim Anna. Ale pozostało niemało dokumentów podpisanych przez Aleksandra. I tak, m.in. w 1600 roku, kiedy pożar zniszczył znaczną część miasta, Aleksander wraz z żoną wydał przywilej dla mieszczan Jarosławia, w którym zezwolił na darmowe zabieranie drzewa w okolicznych lasach w celu odbudowy domów, obiecał zbudować most na rzece San, a także zwolnił mieszczan od płacenia myta do zamku na okres czterech lat. Książę gorliwie opiekował się cerkwią prawosławną w Jarosławiu i działającym przy niej bractwie. Ale nie wypierał się kontaktów z jarosławskimi jezuitami. Przewodził z nimi dyskusje na tematy religijne i nawet wspierał pieniędzmi uczniów i nauczycieli kolegium jezuickiego.

Powróćmy jednak do działalności społeczno-politycznej księcia. W dniach 6-9 października 1596 roku Aleksander brał udział w antyunijnym synodzie w Brześciu, a w lutym-marcu 1597 roku w sejmie, na którym ksiązę Wasyl Konstanty dążył do osłabienia pozycji Unii. Na następnym sejmie w marcu 1598 roku, kiedy doszło do starć między prawosławnymi i unitami, Aleksander razem z bratem Januszem pragnął przytłumić emocje ojca, który podczas posiedzeń sejmowych wdawał się w bójki ze zwolennikami Unii, zwłaszcza z władzą włodzimierskim Hipacym Pocijem i prymasem Stanisławem Karnkowskim. W maju-czerwcu 1599 roku Aleksander był uczestnikiem zjazdu protestantów w Wilnie, który wg miarkowań Wasyla Konstantego miał wzmocnić współpracę polityczną prawosławnych i protestantów i zapoczątkować proces unii politycznej między nimi w sprawie walki przeciw katolikom. W tym czasie Aleksander ściśle współpracuje z ojcem w sprawach konfesyjnych i zresztą przyjmuje z rąk starego księcia funkcje koordynatora zmagających politycznych o prawa prawosławnych w Rzeczypospolitej. Aktywnie broni prawa prawosławnych na sejmikach wołyńskich i na sejmach w 1601 i 1603 roku. Głównymi postulatami prawosławnych było zagwarantowanie spokoju religijnego, prawnego uznania Kościoła Prawosławnego i surowe ukaranie inicjatorów konfliktów religijnych.

Dnia 12 grudnia 1603 roku podczas objazdu swoich włości ksiązę Aleksander niespodziewanie zmarł. Istnieje legenda, że został otruty przez OO. Jezuitów, którzy mieli mu podać otrute wino w jego zamku w Starym Konstantynowie (wg in-

nej wersji w Krasnem). Śmierć Aleksandra była na rękę OO. Jezuitom i zwolennikom Unii, o ile po śmierci księcia Wasyla Konstantego miał on stanąć na czele prawosławnych w walce o prawa Kościoła Wschodniego. Dnia 3 lutego 1604 roku Aleksander został pochowany w zamkowej Cerkwi Bohojawleńskiej – rodzowym mauzoleum książąt Ostrogskich. Śmierć Aleksandra Ostrogskiego była wielką stratą dla wszystkich prawosławnych, ale szczególnie ciężko przeżył to stary ojciec. W wyniku ciężkich przeżyć został sparaliżowany i był przykuty do łóżka niemal rok. Nad grobem swego ulubionego syna Wasyl Konstanty zbudował wspaniałą pomnik z czarnego marmuru, który przedstawiał Aleksandra w postaci śpiącego rycerza. Niedługo przed Wielkanocą w 1636 roku młodsza córka Aleksandra – Anna Alojza Chodkiewicz przeniosła trumnę z ciałem ojca do Kościoła OO. Jezuitów w Jarosławiu i pochowała go obok swej matki – Anny Kostczanki.

Jarosława Bondarczuk

*Z ukraińskiego przełożyła
Łucja Zalewska*





Aleksander był młodszym synem księcia Wasyla Konstantego Ostrogskiego i Zofii Tarnowskiej. Urodził się 1 lipca 1570 roku w Wiewiórcie pod Tarnowem. Okoliczności jego przyjścia na świat były bardzo dramatyczne. Kilka tygodni do jego narodzenia Stanisław Tarnowski, Albrecht Łaski i Andrzej Zborowski zawładnęli Tarnowem, który należał do Ostrogskich. Zofia i Konstanty byli zmuszeni opuścić miasto. Ciężkie przeżycia przed porodem doprowadziły do przedwczesnej śmierci Zofii, która zmarła przy porodzie w wieku 36 lat. Aleksandra więc wychowywał ojciec. Bojąc się, aby młodszy syn nie przeszedł na katolicyzm, jak jego starsi bracia i siostry, Wasyl Konstanty nie posłał go na naukę za granicę. Aleksander wychowywany był w duchu prawosławnym. Wiadomo, że jego nauczycielem był Grek Eusta-

ALEKSANDER OSTROGSKI (1570-1633)

chiusz Natanael, wykładowca ostrogskiej słowiano-greko-łacińskiej akademii. Najprawdopodobniej uczył się w tej akademii. Swoje dzieciństwo i młodość spędził przy ojcu, towarzysząc mu w pochodach wojskowych i przygotowując się do kariery politycznej. Ale częściej pojawiał się na krakowskim dworze królewskim, gdzie zapoznawał się z życiem domu królewskiego. W 1583 roku obecny był na weselu Jana Zamoyskiego z Gryzeldą Batorówną. W 1787 roku towarzyszył królowi Zygmuntowi III na konferencji w Rewlu razem z ojcem młodego monarchy – królem szwedzkim Janem III. W lutym 1593 roku młody książę wziął udział w bitwie pod Piatką, w której wojska Ostrogskich rozbiły do szczytu wojsko kozackie pod dowództwem Krzysztofa Kosińskiego. Bitwa pod Piatką miała wielkie znaczenie dla kariery politycznej księcia. W maju 1593 roku otrzymał on tytuł senatora i posady starosty perejeśławskiego i wojewody wileńskiego. Od tego czasu młody książę bierze aktywny udział w życiu politycznym Rzeczypospolitej.

Szczęśliwie ułożyło się też jego życie osobiste. W 1592 roku ożenił się z Anną z Kostków, córką wojewody sandomierskiego Jana Kostki. Anna Kostkówna przyniosła do domu Ostrogskich olbrzymie posiadłości, m.in. miasta Jarosław, Kańczugę, Dzików, Ułazów i 50 wiosek.

(Dokończenie na str. 47)